

J.J. ABRAMS – REŻYSER NOWYCH „GWIEZDNYCH WOJEN”

NOWA Fantastyka

03 (366) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

PRAWDZIWI SUPERBOHATEROWIE
KOCHAJCIE POTWORA, DZIEWCZĘTA!
KINO W KRAINIE OZ



W SPRZEDAŻY
OD 19 MARCA



PROSZYŃSKI
MEDIA

© 2012 CRYTEK GMBH

© 2012 ELECTRONIC ARTS

ISSN 0867-132X



03

INDeks 358398

OPOWIADANIA:
DAVID MARUSEK
MACIEJ PAROWSKI
ALEXANDER GÜTSCHKE

CRYSIS 3

NA GORĄCO WRAŻENIA Z GRY



04

Od krótkometrażowych, niemych produkcji, przez legendarny oscarowy musical, aż po nadchodzący disneyowski prequel, Oz stało się jedną z krain najchętniej odwiedzanych przez filmowców.



07

Dlaczego wcześniej nikt tego nie zrobił? Jest tyle komiksów, filmów i programów telewizyjnych. A jednak mężczyźni i kobiety patrolujący w barwnych kostiumach zaułki miast istnieją i jest ich coraz więcej.



10

Rozkładają skrzydła, szczerzą paszcze, obserwują świat stamtąd, gdzie przed wiekami umieścili je ich twórcy – średniowieczni rzeźbiarze i budowniczcy, wznoszący potężne gotyckie katedry na chwałę Pana. Gargulce.



14

Niegdyś bombastyczne kino hollywoodzkie równano do Spielberga. Kto wie, czy za parę lat takim punktem odniesienia nie stanie się J. J. Abrams – reżyser nowych „Gwiezdnych wojen”.



Fot. M. Kowalczyk

LAMUS UKSIĄŻKOWIONY

Są tacy, co tylko dla nich kupują „NF”. Bez Haskiej i Stachowicza – mówią – to by nie było to pismo. Znam takie opinie. Inni kupują dla Orbitowskiego, Kosika, Ćwieka, Watta, rad udzielanych przez Sullivana, albo dla prozy, którą publikujemy – takich też znam, ale nie o nich będzie w tym miesiącu. Nie będzie też o tych, których wzruszają do łez wstępniaki moje albo Rzymowskiego. To miłe, ale na inną okazję.

Ten miesiąc należy się Agnieszce i Jerzemu. Haskiej i Stachowiczowi. Ich „Lamus”, cykl, który publikujemy regularnie od 2005 roku, doczekał się właśnie uksiążkowania. I publikacja to naprawdę imponująca.

Wydany przez NCK tom „Śniąc o potęgde” to nie jest dokładnie to, co było na łamach „NF”. „Śniąc...” to antologia historii alternatywnych okresu II Rzeczypospolitej z komentarzami. Ale jakież to są opowieści! Kartkuję to dzieło, podczytuję, zagłębiam się w te historie i zdumiewam, że tak niesamowita literatura fantastyczna kwitła w Polsce tamtego okresu. I tak słabo znana. Strach pomyśleć – dociera do mnie – co by to było, gdyby Agnieszka z Jerzym nie wyciągnęli z lamusa tych wszystkich Ligońskich, Wierzbickich, Barszczewskich. Groza w trzewiach wzbiera i do gardła podchodzi, jak człowiek pomyśli, że mógł przegapić rarytasy takie, jak „Miss o szkarłatnym spojrzeniu”, „Tryumf żółtych”, czy „Ludzie elektryczni”. W sumie, nawet czytać tego dokumentnie nie trzeba – starczą te liryzmem nabrzmiałe tytuły i dramatyzmem podrasowane wyimki, jak choćby taki: *A wstrętny kolor omletu stał się symbolem dnia. Chińczycy w Warszawie.* (To z opowiadania „Tryumf żółtych”. Tak dla zaostrenia Waszego, Drodzy Czytelnicy, apetytu.) Co najciekawsze – a wspomina o tym w „Posłowniu” inny miłośnik literatury pokracznej, Paweł Dunin-Wąsowicz – właściwie każdy z tematów poruszonych w „Śniąc...” znajduje kontynuację w najnowszej polskiej literaturze SF. A to już jest coś, co powinno zainteresować nawet tych, którzy do artykułów „z lamusa” nie zwykli zaglądać często. Nie przegapcie!

Jakub Winiarski

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 4 FILMOWCY Z KRAINY OZ *Andrzej Kaczmarczyk*
- 7 PRAWDZIWI SUPEBOHATEROWIE *Aleksander Daukszewicz*
- 10 GARGULEC NA DACHU *Łukasz Czarnecki*
- 12 KOCHAJCIE POTWORA, DZIEWCZĘTA! *Mateusz Albin*
- 14 REŻYSER MŁODY KINEM *Bartosz Czarotyski*
- 16 ZMIANA WARTY *Michał Cetnarowski*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 15 *Michael J. Sullivan*
- 65 ZAGINIONE ŚWIATY Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 72 LITERACKIE RZUCANIE MIĘSEM *Rafał Kosik*
- 73 ANTY-AVATAR *Peter Watts*
- 77 KRYZYS MA SIĘ DOBRZE *Łukasz M. Wiśniewski*
- 78 OBECNOŚĆ NIEPRZYJACIELA *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 EUKLIDESJA *Maciej Parowski*
- 19 CHIMAERUS *Jędrzej Burszta*
- 30 AGNOZJA *Alexander Gütsche*

PROZA ZAGRANICZNA

- 36 O MAŁO NIE OSZALELIŚMY Z RADOŚCI *David Marusek*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 74 DVD 76 KOMIKS



W NASTĘPNYM NUMERZE:

RADOSŁAW RAK
DZIEWCZYNA Z KARTOFLISKA
WILL MCINTOSH
PO DRUGIEJ STRONIE

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 1/2013
OD 21 STYCZNIA



Fot. J. Lubas

Mówi się, że opowieści o superbohaterach to współczesna mitologia, a oni sami są odpowiednikami antycznych bogów i herosów. Coś w tym jest, szczególnie że w komiksach możemy spotkać m.in. Thora czy Herkulesa. A w mitach – tych starożytnych i tych nowych – odbijają się wyraźnie cywilizacje, które je opowiadają: ich hierarchie wartości, nadzieje i obawy, dręczące problemy. Spójrzmy choćby na Batmana – jakim zmianom ulegał na przestrzeni dekad. Kampowy Nietoperz z serialu z lat 60.; brutalny Mroczny Rycerz Millera, walczący zarówno ze złoczyńcami, jak z degeneracją społeczeństwa; gotycki Batman Burtona, tańczący z szaleństwem w bladym świetle księżycy; i ten u Nolana, zmęczony i urealniony, stawiający czoło złoczyńcom-terrorystom... Aż trudno uwierzyć, że to ta sama postać.

Co mówi o naszych czasach fakt, że tak ciężko znaleźć w nich miejsce dla Supermana? Że aby miał rację bytu ze swoim idealizmem i doskonałością, trzeba podkreślać fakt, że jest kosmi-

HEROSI NA MIARĘ CZASÓW

ta? A czy Biały Orzeł, bodajże trzeci polski superbohater, po Asie z „Hydrozagadki” i Wilqu, poradzi sobie w naszym kraju? Zostawiam Wam to do przemyślenia, zapraszając do lektury artykułu Aleksa Daukszewicza o prawdziwych superbohaterach. Pora na zapowiedzi.

Na pierwszy ogień idzie „Dreszcz” Kuby Ćwieka, czyli opowieść o starym rockandrollowcu, który trafiony piorunem zyskuje supermoce. Druga polska nowość to „Dziedzictwo Manitou” – antologia polskich opowiadań dedykowana Grahamowi Mastertonowi, ze wstępem i premierowym opowiadaniem tego słynnego twórcy horrorów. Wśród premier zagranicznych znajdują się „Złomiarz” Paolo Bacigalupiego oraz „www. Wolność” – ostatni tom trylogii Roberta J. Sawyera. Czekają nas również wznowienie „Przesmyku Centaura”, czyli kolejnego tomu humorystycznego fantasy „Xanth” Piersa Anthony’ego.

W kinie „Oz Wielki i Potężny” – filmowy prequel „Czarnoksiężnika z Krainy Oz” (polecam artykuł Andrzeja Kaczmarczyka o ekranizacjach twórczości L. Franka Bauma). Inne premiery to „Wiecznie żywy” – opowieść o zakochanym zombie, która zainspirowała Mateusza Albina do napisania tekstu o najgłębszych pomysłach na romanse paranormalne – oraz baśniowy „Jack pogromca olbrzymów”.

Najważniejsze komiksy zapowiadane na marzec to „Batman: Trybunał Sów” – pierwszy komiks z „New DC52” (o tym przedsięwzięciu przeczytacie w następnym numerze „NF”), oraz „Hellboy #10: Lichwiarz i inne opowieści”.

Pamiętajcie też, że w dniach 22-24 marca odbędzie się **Pyrkon** – tysiące fanów fantastyki pojawiają się w Poznaniu. Będziecie wśród nich?

Jerzy Rzymowski

NA MARZEC POLECAMY:

KSIĄŻKI



P. Bacigalupi
„Złomiarz”

– najnowsza powieść gwiazdy biopunku.



J. Delaney
„Jestem Grimalkin”

– Tom Ward sprzymierza się z groźną wiedźmą.

FILM



„Oz Wielki i Potężny”

– kim był Czarnoksiężnik przed nadejściem Dorotki?

KOMIKS



„Batman: Trybunał Sów”

– starożytna konspiracja w Gotham.

WIELKA PRZYGODA DOBIEGA KOŃCA!

FINAŁ MAGICZNEJ TRYLOGII C.S. FRIEDMAN W SPRZEDAŻY OD 14 MARCA.



Ludźność czeka ostateczna bitwa z Duszożercami, jeszcze do niedawna odgrzonymi od południowych krain magiczną barierą, Gniewem Bogów. Mur jednak upadł i na świat ludzi padła groźba totalnego wyniszczenia.

Oto kluczowe starcie
Drugiej Ery Królów.

JEDNA Z NAJLEPSZYCH FANTASTYCZNYCH SERII NOWEGO MILENIA.
PAT'S FANTASY HOTLIST

FILMOWCY Z KRAINY OZ

ANDRZEJ KACZMARCZYK

OD KRÓTKOMETRAŻOWYCH,
NIEMYCH PRODUKCJI, PRZESZŁYCH
LEGENDARNY OSCAROWY
MUSICAL, AŻ PO NADCHODZĄCY
DISNEYOWSKI PREQUEL, OZ STAŁO
SIĘ JEDNĄ Z KRAIN NAJCHĘTNIEJ
ODWIEDZANYCH PRZESZŁYCH FILMOWCÓW.



Od dawna wiadomo, że „Czarnoksiężnik z Krainy Oz” L. Franka Bauma jest jedną z najważniejszych książek światowej literatury fantastycznej. Nie tylko zapoczątkował popularną, czternastotomową serię, ale również odcisnął piętno na kinie i telewizji. Historia małej Doroty, Stracha na Wróble, Blaszanego Drwala, Tchórzliwego Lwa i ich podróży w poszukiwaniu Czarnoksiężnika, który, jak mają nadzieję, spełni ich marzenia – obdaruje rozumem, sercem, odwagą i pomoże Dorocie wrócić do rodziny – od pierwszej publikacji w 1900 roku cieszy się niestabnącą popularnością. Nic dziwnego, że na przeniesienie Oz na taśmę filmową nie trzeba było długo czekać. Już czasy filmu niemego dały widzom cały szereg adaptacji powieści Bauma, który zresztą miał swój udział w wielu z nich.

CISZA W OZ

Pierwszym podejściem, jeszcze nie w pełni filmowym, było „**The Fairylogue and Radio-Plays**”, widowisko z roku 1908, którego Baum był producentem, scenarzystą i narratorem. Było to połączenie teatralnego przedstawienia z pokazem slajdów oraz krótkich, ręcznie kolorowanych filmów. Nowatorski, multimedialny show spotkał się z ciepłym przyjęciem wśród widzów, jednak koszt produkcji był zbyt wysoki i nawet najliczniejsza publiczność nie wystarczyła,

żeby uczynić przedsięwzięcie opłacalnym. Ostatnie przedstawienie odbyło się po mniej niż trzech miesiącach od premiery. Zadłużony po uszy Baum odstąpił wtedy prawa do sfilmowania swojej książki Selig Polyscope Company, jednemu ze swoich wierzycieli i wytwórni odpowiedzialnej za filmowe fragmenty przedstawienia.

W 1910 roku powstał trzynastominutowy „**The Wonderful Wizard of Oz**”, jedyny z filmów o Oz wyprodukowanych przez **Williamę Seligę**, który ocalał do dzisiaj. On również nie dotrwał do naszych czasów w stanie nienaruszonym: chociaż nie brakuje żadnych scen, nie zachowały się napisy, przez co obsada i twórcy filmu pozostają obiektem sporów i wydaje się mało prawdopodobne, by kiedykolwiek definitywnie przypisano wszystkie role właściwym aktorom. Wytwórnia Seliga nakręciła jeszcze trzy filmy na podstawie powieści Bauma, jednak dziś znane są one tylko z katalogowych opisów.

Baum wrócił do ekranizowania opowieści z Oz w 1914, zakładając w tym celu własne studio filmowe **The Oz Film Manufacturing Company**. Jeszcze w tym samym roku wyprodukowano trzy filmy: „**The Patchwork Girl of Oz**” (pierwszą pełnometrażową adaptację twórczości Bauma), „**The Magic Cloak of Oz**” oraz „**His Majesty, the Scarecrow of Oz**”. Ten ostatni w założeniach miał być adaptacją „Czarnoksiężnika”, jednak Baum wprowadził tak wiele



PRAWDZIWI SUPERBOHATEROWIE

ALEKSANDER DAUKSZEWICZ

ZAWSZE ZASTANAWIAŁEM SIĘ, DLACZEGO WCZEŚNIEJ NIKT TEGO NIE ZROBIŁ. JEST TYLKO KOMIKSÓW, FILMÓW I PROGRAMÓW TELEWIZYJNYCH. MOŻNA BY POMYŚLEĆ, ŻE JAKIŚ EKSCENTRYCZNY SAMOTNIK USZYJE SOBIE KOSTIUM – MÓWI TYTUŁOWY BOHATER FILMU „KICK-ASS”.

A JEDNAK MĘŻCZYŹNI I KOBIETY I PATROLUJĄCY W BARWNYCH KOSTIUMACH CIEMNE ZAUŁKI MIAST ISTNIEJĄ I JEST ICH CORAZ WIĘCEJ.

Prawdziwi Superbohaterowie (ang. **Real Life Superheroes**, w skrócie **RLSH**) to coraz popularniejsza subkultura, złożona z ludzi, którzy starają się naprawiać świat w przebraniu komiksowych herosów. Choć może się to wydawać śmieszne, członkowie ruchu RLSH – jak sami się najczęściej określają – podchodzą do sprawy bardzo poważnie. Zajmują się szeroką gamą problemów, od ekologii, przez działalność społeczną, aż po faktyczną walkę z przestępczością. Choć nie ma dokładnych danych na temat ich liczebności, ostrożne szacunki wskazują na aktywną działalność około czterystu bohaterów w kilkunastu krajach świata. Najwięcej – przeszło trzystu – operuje oczywiście w Stanach. Ta liczba stale się zmienia, ponieważ część bohaterów, przechodzi „w stan spoczynku”, a choć na ich miejsce stale przybywają nowi, to

wielu z nich nie starcza zapалу na długo. Kim są ci zamaskowani ludzie i o co właściwie im chodzi?

OJCOWIE ZAŁOŹYCIELE

Trudno ustalić, kto jako pierwszy postanowił zostać superbohaterem. Członkowie ruchu RLSH wskazują jednak kilka osób i organizacji, których działalność była dla nich szczególnie ważna i inspirująca.

James Phillips (1930-2001) to działacz ekologiczny, który przez trzydzieści lat toczył podjazdową walkę z korporacjami zanieczyszczającymi rejon Fox River. Phillips przyjął pseudonim **The Fox** i sabotował działalność firm, które w jego mniemaniu wyrządzały największe szkody środowisku naturalnemu. Na miejscu akcji zostawiał „lisie wizytówki”, których literę O zastępo-

wała stylizowana głowa lisa. Choć nie nosił kostiumu, jego pseudonim oraz teatralne działania przywoływały na myśl postacie z komiksu.

Ogromny wpływ na wyobraźnię członków ruchu miała też pewna organizacja społeczna. **The Guardian Angels** to ochotnicza straż obywatelska, założona w 1979 roku przez Curtisa Silvę. Aniołowie patrolowali nowojorskie metro, które na przełomie lat 70. i 80. uchodziło za najniebezpieczniejsze na świecie i dokonywali zatrzymań obywatelskich. Początkowo ich działalność była całkowitą samowolą i spotkała się ze sprzeciwem lokalnych władz, z czasem jednak zdobyli poparcie. Obecnie działają w 144 miastach w 15 krajach. Choć nigdy nie przebrali się za komiksowych superbohaterów, ich czerwone kurtki i berety, oraz metody działania stanowiły inspirację



GARGULEC NA DACHU

ŁUKASZ CZARNECKI

SĄ WŚRÓD NAS JUŻ OD DZIEWIĘCIU STULECI. ROZKŁADAJĄ SKRZYDŁA, SZCZERZĄ PASZCZE, OBSERWUJĄ ŚWIAT STAMTĄD, GDZIE PRZED WIEKAMI UMIEŚCILI JE ICH TWÓRCY – ŚREDNIOWIECZNI RZEźBIARZE I BUDOWNICZY, WZNOSZĄCY POTĘŻNE GOTYCKIE KATEDRY NA CHWAŁĘ PANA. GARGULCE.

Początkowo były zwykłymi zwieńczeniami rynien – rzygaczami, które z czasem ludzka wyobraźnia przyobiekła w groteskowe kształty i nadała im dodatkowe znaczenie. Obsiadając ściany kościołów, przypominały śpieszącym na modlitwę ludziom o istnieniu zła, które nie miało wstępu do świętych przybytków. Ich nazwę jedni łączą z francuskim słowem *gargouille* oznaczającym „gardło” bądź „przełyk”, lub z czasownikiem *gargouiller*, czyli „bulgotać”, a inni z legendarnym wodnym smokiem *Gargouille*, mającym swego czasu terrorizować okolice Paryża. Wydawać by się mogło, że stanowią wspianą pożywkę dla wyobraźni twórców filmów grozy. Każdy, kto wędrując w nocy, dostrzegł niespodziewanie jednego z nich, zna dobrze to uczucie ulgi, gdy uświadomiamy sobie, że to tylko rzeźba. Tym bardziej dziwi, że filmowcy omijają gargulce szerokim łukiem. Jest na szczęście kilka produkcji, w których istoty te zagrały tytułowe role. Poniższy tekst stanowi całkowicie subiektywny przewodnik po nich.

RÓŻOWE LATA SIEDEMDZIESIĄTE

W roku 1972, gdy Edward Gierek zadłużał nas na potęgę, a w USA naćpani hippisi i zbławoniani studenci protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie, amerykańska stacja ABC wyemitowała horror „*Gargoyles*”.

Główny bohater filmu, doktor Mercer Boley, jest antropologiem, który zbierając materiały do najnowszej książki trafia do podupadającego muzeum, prowadzonego przez pijacka zwanego Wujaszkiem Willym. Zdziwaczka staruszek zaprasza uczonego do siebie, chcąc pokazać mu niezwykle artefakt.

I rzeczywiście, w niewielkiej szopie za muzeum oczom doktora i jego ponętnej córki Diany ukazuje się szkielet wyglądający jak ludowe wyobrażenie diabła. Wywołuje on na twarzy naukowca jedynie uśmiech, ale ten znika, gdy Wujaszek Willy ginie w wyniku ataku istot próbujących odzyskać szkielet. Doktorowi i Dianie zostaje tylko paniczna ucieczka w mroki nocy. Niedługo potem w niewielkim przydrożnym motelu dochodzi do konfrontacji, kosztującej życie



jedną z bestii i okazuje się, że prześladowcami Bolejów są gargulce. Niestety, nie darują one antropologowi śmierci pobratymcy i przypuszczają następny atak, w wyniku którego Diana zostanie porwana i uwięziona przez demonicznego (dosłownie!) przywódcę potworów. Na pomoc dziewczynie wyrusza egzotyczna koalicja złożona z lokalnych stróżów prawa i miejscowej młodzieży skupionej w gangu motocyklowym. Nie ma się więc co bać, zwłaszcza że tej małej armii towarzyszyć będzie słynny amerykański duch, który (przynajmniej w filmach) tyle już mieszkańcom USA inwazji kosmitów i mutantów pozwolił odeprzeć...

Komentarz do tego filmu może być tylko jeden: jest on jak stara pulpowa powieść SF, o której niby wiemy, że to głupota, a i tak czytamy ją z wypiekami na twarzy. Cudo!

GOLIAT W NOWYM JORKU

Przez następne trzydzieści dwa lata gargulcom nie dane było gościć na ekranach telewizorów. Kiedy jednak wróciły, zrobiły to z hukiem. W październiku 1994 roku miała bowiem miejsce premiera nowego Disneyowskiego serialu zatytułowanego (jakże oryginalnie!) „*Gargoyles*”. Serialu, dodajmy, jak na standardy Disneya dość niezwykłego, bo tytułowi bohaterowie mogli co młodszym widzów przyprawić o palpitacje. Nie przeszkodziło to jednak gargulcom w zyskaniu rzeszy fanów, pozostających im wiernymi nawet dziś, w szesnaście lat po emisji ostatniego odcinka.

Fabula serialu przedstawiała się następująco: przed wiekami ludzie żyli w symbiozie z gargulcami – rasą inteligentnych stworzeń o silnym instynkcie terytorialnym. Nocami strzegły one ludzkich osad, w których miały swe leża, w dzień zaś zdawały się na opiekę ludzi, same bowiem zapadały w głę-



ROMANSE PARANORMALNE
EPOKI „ZMIERZCHU”
POTWIERDZAJĄ STARE
POWIEDZENIE, ŻE KAŻDA
POTWORA ZNAJDZIE
SWEGO AMATORA.

MATEUSZ ALBIN

KOCHAJCIE POTWORA, DZIEWCZĘTA!

Co z tego, że Anne Rice przez lata przekonywała nas, że wampiry seksualnością w ludzkim rozumieniu nie są ani zainteresowane, ani nawet do niej zdolne. Wystarczyło kilka książek Stephenie Meyer, aby świat uwierzył, że krwiopijcy nie tylko są żywo zainteresowani sprawami tak sercowymi, jak i płciowymi, ale też w pełni funkcjonalni, kiedy przychodzi co do czego. Od kilku lat na kartach powieści i ekranach kin widzimy, że pomimo wyraźnych znamion nekrofilii, nieumarli kochankowie w umysłach zafascynowanych małolatów zajęli miejsca Kleopatry i Antoniusza czy Scarlet O'Hary i Rhett Butlera. Najwyraźniej żadnemu bohaterowi „Zmierzchu” w płomiennym romansie nie przeszkadzał brak bijącego serca. A skoro Edward Cullen po wstaniu z trumny, zamiast uczciwie wgrzyzać się w gardła i sączyć posokę, postanowił zakochać się i skosztował miłość w finale sagi, nie trzeba było długo czekać, aż podobną ścieżką podążą jego koledzy z galerii potworów.

NEKROFILIA DLA NASTOLATEK

Według autorów młodzieżowych romansów brak pulsu nie jest przeszkodą w przeżywaniu namiętności. Bella Swan błyskawicznie pogodziła się ze świadomością, że jej wybranek powstał z grobu. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby z przystojnej twarzy Edwarda odpadały kawałki gnijącego mięsa. Stephenie Meyer postanowiła jednak uchronić swoich czytelników przed tak dosłowną atmosferą śmierci. Zupełnie inaczej postąpiła Marion Issac, autorka zekranizowanych w tym roku „Ciepłych ciał” (w oryg. „Warm Bodies”, w Polsce film będzie wyświetlany jako „Wiecznie żywy”). Kryjący się za niewiele mówiącym inicjałem R, bohater i narrator powieści jest trochę posępnym, ale bardzo wrażliwym młodzieńcem. Wyposażony przez filmowców w łagodne rysy Nicholasa Hoult'a, zapewne nie

mógłby odgonić się od adoratek, gdyby nie to, że jest żywym trupem, który wraz z wskrzeszonymi pobratymcami sieje grozę na opuszczonym lotnisku. Odrobinę uroku odbiera mu także charakterystyczne dla zombie upodobanie do rozbijania ludzkich czaszek i wyjadania z nich mózgow. Kłopotliwy nawyk sprawia, że sympatyczny morderca może odczuwać emocje, tak jakby przez chwilę był żywy. Podczas gdy R poszukuje kolejnej przekąski, między zgłiszczami miast ukrywają się resztki ludzkości. Tak jego losy krzyżują się z piękną Julie Grigio, którą zauważa wśród potencjalnych ofiar. Jego zadurzenie pogłębia się jeszcze po zjedzeniu mózgu chłopaka Julie. Doprowadza to do tego, że ratuje dziewczynę przed głodnymi kompanami. Tak zaczyna się ich burzliwa znajomość, której finał zapewne wzruszy docelowych odbiorców powieści. Długoletnich fascynatów żywych trupów doprowadziłaby ona do zgrzytania zębami, gdyby nie wszechobecny humor, ironia i świadomość absurdalności pomysłu. A przynajmniej tak książkę Issac odebrał Simon Pegg, współtwórca niezapomnianego „Wysypu żywych trupów”, filmu, który schemat klasycznej komedii romantycznej umieszczał w świecie opanowanym przez zombie.

Podobnego dystansu do historii zabrakło Meg Cabot. Autorka swoją przygodę z fantastyką rozpoczęła w 2000 roku, kiedy do księgarń trafiła „Kraina cieni”, pierwszy tom serii „Pośredniczka” (ciekawym zbiegiem okoliczności ostatni tom cyklu nosi w oryginale tytuł „Twilight”, jak powieść Stephanie Meyer – w Polsce przemianowano go na „Czwarty wymiar”). Pisarka z przesłodzonego świata „Pamiętnika księżniczki” zabrała swoje czytelniczki do rzeczywistości, w której krzyżują się światy żywych i umarłych. Główna bohaterka, nastoletnia Suze Simon, potrafi to dostrzegać i komunikować się ze zmarłymi. Po przeprowadzce do kilkusetletniego domu nie jest zdumiona, kiedy odkrywa, że jej pokój

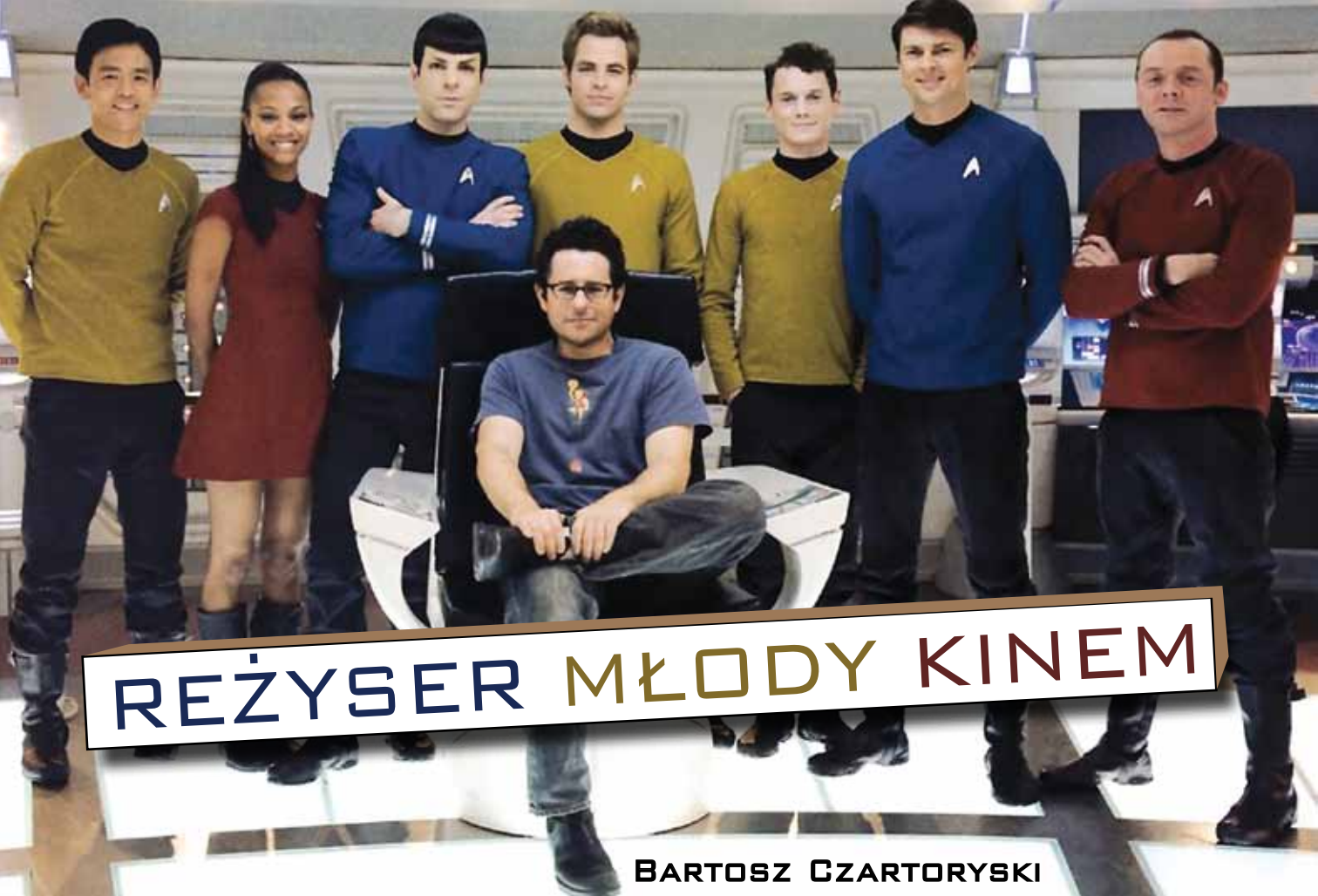
zamieszkuje już duch Hektora de Silvy, który po śmierci zachował wygląd przystojnego dwudziestolatka. Na związek obu postaci fanki musiały czekać do czwartego tomu, ale i wtedy sytuacja pary nie była usłana różami. Sama bohaterka w jednym z rozdziałów zauważyła, że takiego chłopaka ani nie może przedstawić rodzicom, ani zabrać na studniówkę...

ARMIA BOGA W POPRAWCZAKU

Podczas gdy autorki romansów prześcigały się w wymyślaniu miłosnych rozterek lokatorów rodem z „Domu Frankenstein’a”, Becca Fitzpatrick postanowiła sięgnąć poza pulę wszelkiej maści nieumarłych. W „Szeptem” w schemacie „piękna śmiertelniczka i istota paranormalna” umieszczono anioła. Jest nim Patch, który arogancję nadrabia przystojnością. Zakochuje się nim Nora Grey, licealistka zdradzająca kompleks dziewczyny z prowincji. Wydarzenia rodem z „Armii Boga” przeplatają się, rzecz jasna, ze szkolną rzeczywistością. Nora poznaje Patcha, kiedy ten dosiada się do niej na lekcji biologii. No cóż, skoro „Zmierzch” przekonał nas, że żyjący od stuleci wampir chce spędzić wieczność w szkolnej ławce, to dlaczego miałby tego nie zrobić przedwieczny anioł?

W intymne relacje z aniołem wdaje się także siedemnastoletnia bohaterka „Upadłych” autorstwa Lauren Kate. Smaczku serii dodaje fakt, że akcja rozgrywa się w poprawczaku, a główna bohaterka jest podejrzana o morderstwo. Podobne problemy przeżywa piętnastoletnia Chloe Saunders w trylogii „Najmroczniejsze moce” Kelley Armstrong. Obdarzona zdolnością widzenia duchów i wskrzeszania zmarłych, zostaje uznana za schizofreniczkę i zamknięta w tajemniczym ośrodku.

W „Kronikach Obdarzonych” Kami Garcii i Margaret Stohl w konflikt między siłami Świata



BARTOSZ CZARTORYSKI

NIEGDYŚ BOMBASTYCZNE KINO HOLLYWOODZKIE RÓWNANO DO SPIELBERGA, POTEM – IRONICZNIE – DO BAYA I EMMERICHA. KTO WIE, CZY ZA PARĘ LAT TAKIM PUNKTEM ODNIESIENIA NIE STANIE SIĘ JEFFREY JACOB ABRAMS – REŻYSER NOWYCH „GWIEZDNYCH WOJEN”.

On sam zresztą został przez Spielberga nieformalnie namaszczone, gdy obaj panowie pracowali przed paroma laty nad „Super 8”, zaś prasa branżowa pośpiesznie określiła niemłodego już przecież reżysera piewą kina nastoletniego. Ba, wolno zaryzykować stwierdzenie, że był to film, o nakręceniu którego Abrams – wychowany przecież na kinie nowej przygody – mógł marzyć od dziecka, lecz na nieskrępowane naśladownictwo stylu Spielberga pozwolił sobie dopiero, kiedy ten poklepał go po plecach. Nie jest jednak plagiatorem i swój własny pomysł na kino ma, choć nadal znajduje się na etapie twórczych poszukiwań i trudno powiedzieć, w którą stronę obierze kurs, szczególnie że stale lawiruje pomiędzy kinem a srebrnym ekranem.

Za młodu nasiąknął celuloidem – jego ojciec jest wziętym producentem telewizyjnym, więc można przypuszczać, że Abrams od małego poznawał zakamarki atelier. I nie tylko on, bowiem jego siostra pracuje w branży jako scenarzystka, zaś matka – zmarła w zeszłym roku – zajmowała się produkcją filmową. Abrams już jako nastolatek skomponował muzykę do jednego z dziełek kultowego dziś twórcy niskobudżetowych filmów science fiction i horrorów Dona Dohlera, potem, na uczelni, wziął się za scenariusze i treatmenty, coraz częściej też pojawiając się w napisach końcowych jako

producent. Do telewizji i kina wysokobudżetowego zawitał w 1998 roku, kiedy to na antenę trafił serial jego autorstwa zatytułowany „Felicity”, a na dużym ekranie pojawił się napisany przez niego „Armageddon”. I o ile ten pierwszy tytuł gościł w amerykańskich domach jeszcze przez kilka ładnych lat, to za współtworzony przez siebie scenariusz do filmu Michaela Baya Abrams zebrał ciągi zwieńczone gorzką nominacją do Złotej Maliny.

Zawsze lubiłem pracować nad opowieściami wrzucającymi ludzi, z którymi można się utożsamić, w coś szalonego. Najbardziej ekscytuje mnie przerzucanie mostu między tym, o czym wiemy, że jest prawdziwe, a czymś niezwykle. Sedno tkwi w tym, jak przekraczamy ten most.

(J.J. Abrams o swoich scenariuszach)

KORONOWANA GŁOWA TELEWIZJI

Ciągający się przez cztery sezony serial i wątpliwe wyróżnienie za marny scenariusz – niezbyt dobry wynik jak na przyszłą nadzieję kina rozrywkowego. O Abramsie w ten sposób nie myślał wówczas zapewne nawet i on sam. Dlatego też długo nie wychodził z telewizyjnego getta, w którym okopał się na całkiem wygodnej pozycji. Przez pięć lat – poczynając od roku 2001 – emitowano współtworzoną przez niego „Agentkę o stu twarzach” (oryg. „Alias”), zaś w 2004 roku dał stacji ABC prawdziwą bombę, a raczej piñatę, z której zamiast słodkości poleciały dolary. Serial „Zagubieni”, bo to o nim mowa, dzisiaj jest już telewizyjnym klasykiem; jego oglądalność nawet w kryzysowych momentach nie spadła poniżej jedenastu milionów widzów, zaś wydruk listy nagród, jakie zgarnął podczas całego okresu emisji, pochłonąłby bez mała ryzę papieru. Abrams stał się tym samym półbogiem telewizji – gdy nie pracował nad „Zagubionymi”, nieustannie maczał palce w innych projektach – i dopiero wówczas upomniało się o niego kino.

Plotka głosi, że Tom Cruise osobiście zadzwonił do Abramsa po obejrzeniu ciągu dwóch sezonów „Agentki...” i zaproponował mu wyreżyserowanie trzeciej części przygód Ethana Hunta i jego ekipy od misji niemożliwych. Król seriali nie był pierw-

Zmiana warty

MICHAŁ CETNAROWSKI

Nie da się ukryć, że fantastyka i „Nowa Fantastyka” są w dziś innym miejscu, niż były dwadzieścia i dziesięć lat temu. Jakie są te czasy, w których czytamy i żyjemy?

Król nie umiera, wódz nie składa broni, generał nie przechodzi w stan spoczynku. Maciek Parowski – pierwszy między równymi – nie rezygnuje z redaktorskiej działalności, przekazuje tylko dział prozy polskiej, by samemu zająć się tworzeniem „Czasu Fantastyki”, przygotowywaniem felietonów i pisaniem książek (trzymam za słowo!). O czym piszę nie tylko dlatego, żeby Was poinformować (bo to nius nieco już przechodzony), tylko żeby samego siebie uspokoić, utwierdzić się w znanym kształcie poznanego świata. Parowski, redaktor i legenda, filar „NF” przez trzy dekady, wreszcie, na płaszczyźnie osobistej – człowiek, który swoimi wyborami pokazywał mi fantastykę, rozpałał kierunkowskazy na horyzontach wyobraźni. Żle się wchodzi w takie buty, bo zawsze są na człowieka za duże. A jednocześnie to wielkie wyzwanie i zaproszenie do przygody, którego nie sposób odrzucić. Nie da się przy tym ukryć, że fantastyka i „Nowa Fantastyka” są w dziś innym miejscu, niż były dwadzieścia i dziesięć lat temu. Jakie są te czasy, w których czytamy i żyjemy?

Inni są dziś czytelnicy, inna fantastyka, wreszcie inna rola i moce sprawcze redaktorów, którzy wybierają teksty do druku. Po kilku dekadach zmagania fantastyka, jak się zdaje, jednogłośnie zwyciężyła w bojach o rolę głównego rozgrywającego we współczesnej popkulturze. Otwartym pytaniem pozostaje, czy wygrawszy bój memów, fantastyka nie odniosła zwycięstwa pyrrusowego?

Skupiając się głównie na fantastycznej literaturze: traktowana głównie jako źródło rozrywki, z automatu musi ona konkurować z innymi mediami rozrywkowymi. A na tym polu trudno dziś przebić interaktywność gier czy plastyczność wizualną filmów. Dostawność efektów specjalnych powoli, ale nieubłaganie okalecza wyobraźnię (po co sobie wyobrażać, skoro można zobaczyć?). Guglizacja rzeczywistości oducza nas skupienia. W takich warunkach sztuka czytania staje się coraz bardziej elitarna. W języku ekonomii znaczy to, że literacka fantastyka – zwłaszcza jeśli odbiega od aktualnych marketingowych trendów – staje się coraz bardziej ryzykowna dla wydawców. Niedawny spór między „fantastyką rozrywkową” i „problemową” zdaje się wspominać z sentymentem, przebrzmiałą pieśnią dnia wczorajszego. W praktyce, na rynku jest coraz mniej miejsca na fantastykę inną niż „rozrywkową”; walka powoli zaczyna iść o to, żeby w takich warunkach nie dać jej do reszty popaść w schematyzm i banał.

Niezależnie od czasów, dobór tekstów do magazynu

to wypadkowa trzech zmiennych: oczekiwań wydawcy, oczekiwań czytelników i gustu redaktora. Te pierwsze – w felietonowym uproszczeniu – skierowane są na zysk i komercyjną niezależność. Ten drugi, masowy „Czytelnik”, w stanie czystym w przyrodzie nie występuje. Są tylko pojedynczy czytelnicy, starzy i nowi, o subiektywnych gustach i odmiennych oczekiwaniach. Gdyby jednak spróbować przeanalizować ów sztuczny konstrukt myślowy, w uproszczonej obserwacji można go podzielić na trzy podgrupy. „Czytelnik 1” w jakiejś mierze wywodzi się z autorów aspirujących na łamy. Chce on często tekstów lżejszych, ale przede wszystkim chce zobaczyć w druku teksty swoje. A że najczęściej może je obronić jedynie „akcją” i w miarę sprawnym warsztatem, za takimi tekstami woła. „Czytelnik 2” z kolei niekoniecznie szuka „fantastyki nowoczesnej”, bo – nie do końca sam wie, czego poszukuje. Jego czytelnictwo napędzane jest resentymentem: nieważne co, ale chce czytać coś, co go tak poruszy, jak teksty sprzed 20–30 lat, kiedy byliśmy piękni, młodzi i nieskażeni żadnym skojarzeniem. Stąd nawoływanie o scenograficzne retro, najczęściej już na starcie skazane na porażkę. „Czytelnik 2” woła za sztafą, bo nie umie nazwać właściwych tęsknot, a kiedy dostaje sztafą, okazuje się, co musi się okazać: że to tylko wydmuszka, kostium, który już widział. Że nie o to mu chodziło. Trzecia droga – chciałoby się, żeby najliczniejsza – to czytelnicy-poszukiwacze „nowoczesnej SF/fantastyki”, która nie powiela tego, co było, ale też potrafi poruszyć jak teksty z czasów młodości; tylko że takie opowiadania wytrópić najtrudniej. Z różnych przyczyn – jedną z nich byłoby to, że nowi autorzy biorący się za fantastykę coraz częściej myślą już nie „tematami” i „problemami”,

FANTASTYKA TO TAKŻE TYGIEL WOLNEJ MYŚLI I ESTETYCZNA WYLĘGARNIA, KTÓRA NIE TYLKO NAJSZYBCIEJ ULEGA MODOM, ALE TEŻ MIEWA MOCICH FORMOWANIA, RZEŹBIENIA TRENDÓW.



a raczej „sceneriami” i „konwencjami”? Tu otwiera się temat-rzeka.

Tyle tej partyzanckiej egzegezy. Trzecią składową, wpływającą na dobór opowiadań do druku, byłby ów gust redaktorski, mityczny zwierz, którego widzieli ponoć wszyscy, ale nikt go jeszcze nie złapał. I dobrze – gdyby redaktorzy nie liczyli już na czytelnice niespodzianki, znali wszystkie teksty, jakimi mogą ich zaskoczyć autorzy, praca w magazynie literackim byłaby wtedy udręką.

Co z powyższego wynika dla magazynu, dla czytelników, wreszcie dla mnie, jako świeżo opierzonego redaktora działu z literaturą polską? Skoro świat wyprzedza nas coraz szybciej – uciekać można tylko do przodu. Na łamach „Nowej Fantastyki” będę zatem starał się publikować rzeczy zróżnicowane. Różnorodność, zmienność i a-programowość jako „program redaktorski”, i to jeszcze zdając sobie sprawę, że każda długofalowa deklaracja musi się w końcu odwrócić przeciwko temu, kto ją ogłosił? Powiedzmy, że to ma sens.

Jak uczy klasyk: to ryzykowna sprawa, wychodzić za próg domu, poza granicę swoich przyzwyczajeń. Trzeba uważać na stopy, bo nigdy nie wiadomo, gdzie człowieka poniosą.

Ale jednocześnie to takie pociągające.

Proszę zapiąć pasy. Mam nadzieję, że wspólna wycieczka zaprowadzi nas w miejsca czasem groźne, czasem piękne i odkrywane po raz pierwszy, a czasem znane i lubiane. Ale za każdym razem warto odwiedzenia. ■

EUKLIDESJA

MACIEJ PAROWSKI

Przy uważnej lekturze „Mitów greckich” Gravesa znajdzie czytelnik krótki akapit ze zdaniem lub dwoma zdaniami na temat Ajgajona, mitycznego olbrzyma, którego imię służyło do pewnego czasu nazwą słupom Herkulesa, by potem ustąpić miejsca nowemu mianu i pójść w zapomnienie. Informacja o Euklidesji zawiera się w tej wzmiance oraz w pracowitych indeksach i przypisach, od których roi się dzieło Gravesa. Parandowski o Euklidesji nie wspomina, natomiast krótkie aluzje na jej temat znaleźć można w czwartym tomie „Księgi z 1001 nocy” oraz w dziewiątym tomie przypisów. Jorge Luis Borges znał, jak powiada, tę historię od dawna, ale odwołuje się do niej zdawkowo dopiero teraz, na 83 stronie „Raportu Brodiego”, przy okazji kolejnej opowieści gauchowskiej, w której istotną rolę pełni perspektywiczny obraz szyn przecinających się na horyzoncie pampy. J.L. Borges był podobno związany przysięgą milczenia, która przestała go obowiązywać od niedawna. Jaka to tajemnica? Czego się obawiał, a czego przestał się lękać wiekowy, półniewidomy geniusz pióra? Pytania, pytania, pytania... Poszukiwacz prawdy skazany jest tu na domysły, na strzępki informacji rozproszonych w dziełach takich jak „Sens sztuki” H. Reada, „Czarownica” J. Micheleta, „Złota gałąź” J. G. Frazera, „Miernictwo elektryczne” S. Lebsona czy „Kultura pod młotkiem” F. S. Siroveca. W esejach Cailloisa, Fromma, Huizingi, McLuhana, Orwella, w albumach grafik Eschera. Oto, co na razie daje się ustalić w tej historii.

Tyran jednego z greckich państw, co do imienia którego nie mogą się zgodzić autorzy żadnej z podanych pozycji źródłowych, żyjący w czasie poza zdecydowanymi ustaleniami współczesnej historiografii i chronologii, był wielbicielem wiedzy, osobiście nauk ścisłych, szczególnie geometrii. Zmarł najprawdopodobniej przed Chrystusem, co można wnosić z faktu, że żadne z jego przypuszczalnych imion (Palesant, Palysow, Knoto, Ladeso, Efors) nie pojawia się w ewangeljach, a jednocześnie musiał urodzić się po Euklidesie (365?–300? p.n.e.) lub być przynajmniej jego współczesnym, bowiem w umiłowaniu geometrii najbardziej przejął się nauką Euklidesa i na cześć uczonego przemianował nazwę (jaką? – nie wiadomo) swego państwa na Euklidesja.

Szczegóły, które wyliczam dalej, wyciągane przez jednych jako absolutnie wiarygodne, podawane są w wątpliwość przez drugih. Podkreślić należy, że najbardziej łatwowiernym jest McLuhan, najmniej Siroves; najchętniej rozpatrują sprawę od strony moralnej Fromm i Michelet, widząc w całej historii antycypację prześladowań religijnych (Michelet) i faszyzmu (Fromm), a Huizinga oraz Caillois bagatelizują euklidesjańskie wydarzenia

w przekonaniu, że rzecz nie wykracza poza ramy szerzej rozumianej zabawy.

Jedno jest pewne: Tyrana zafascynowała idea, którą Euklides tak pięknie opisał w „Elementach geometrii” i obwarował matematycznymi aksjomatami. Była to idea równoległości. Niestety Tyran Euklidesji nie widział tej równoległości w życiu. Patrzył na drogę – zbiegała mu się w postaci punktu na horyzoncie. Patrzył na budowlę – budynki zwężały się ku górze. Tyran spoglądał na odległe pomniki – okazywały się mniejsze od obdartych prostaczków na pierwszym planie. Ścieżka w gaju oliwnym, pokład galery, maszt, lina kotwiczna, studnia, oddział maszerujących żołnierzy... wszystko, co posiadało wystarczającą długość, poddawało się zjawisku perspektywy, a przeczyło idei równoległości. Tyran Euklidesji postanowił poprawić świat na tyle, by ten potwierdzał pewniki wielkiego geometry.

Rzecz polegała na przebiegłych korektach, rzecz jasna tam, gdzie były one do przeprowadzenia. Kolumny i ściany rozszerzające się nieznacznie ku górze niwelowwały zjawisko perspektywy. Wyjazdowe drogi z miasta (państwko Euklidesja na dobrą sprawę było wielkości dzisiejszego miasteczka) rozszerzały się aż po otaczające je gaje oliwne, a tam, gdzie nie było gajów, do najbliższych wzgórz lub nawet po horyzont na równinach. Robota była doskonała, korekcja idealna – nikt, kto patrzył na drogi z najwyższych nawet okien pałacu, nie dostrzegał zjawiska perspektywy. Trudniej z powierzchnią miejską – tu uliczka skorygowana dla przechodnia idącego z jednej strony prezentowała perspektywę niejako totalną idącemu z drugiej. Architekci Tyrana znaleźli wyjście, proponując gęstą zabudowę miasta, uliczki krótkie i kręte. Być może to wtedy właśnie, jak sugeruje Huizinga, wynaleziono po raz pierwszy ruch miejski jednokierunkowy. Ogromne prace publiczne, przedsięwzięte w celu przebudowy, przysparzają nawet Tyranowi Euklidesji chwilowej popularności i (są tu zgodni Michelet, Frazer, Sirovec) cementują społeczeństwo.

Dalsze posunięcia Tyrana nie zyskują mu już powszechnej aprobaty. Mocą królewskich rozkazów wyburzone zostają te części miasta, w których przeprowadzenie antyperspektywicznych retuszy nie jest możliwe. Geometria staje się nauką obowiązującą, a przymus euklidesowego i tylko euklidesowego widzenia matematyki sprawia, że (jest to sugestia McLuhana) geometria nieeuklidesowa (Łobaczewski, Riemann i in.) rozwija się z dwutysięcletnim bez mała opóźnieniem, przez co świat dopiero w drugiej połowie XX wieku staje się globalną telewizyjną wioską. W swym dość znanym wywiadzie udzielonym warszawskiej „Kulturze” (kwiecień ‘75) McLuhan stwierdza, że

CHIMAERUS

JĘDRZEJ BURSZTA

I

Przekleństwo sprowadził na niego osiwiwały kuternoga, stary piracki wyga poznany w zapyziałej tawernie, gdzieś na odległym krańcu wyspy, którą wybrał na kolejny etap swojej podróży.

Morski bękart dożywał swoich dni w zakurzonej kącie knajpy, kreśląc stygnącym woskiem linie i kręgi na stole, drżącym głosem snując wspomnienia – barwne opowieści o lamiach, sylfidach i oceanicznych węzach oplatających ogonami kolumny zrzuconych podwodnych miast, widmach zagubionych marynarzy i dryfujących skrzyniach skrywających przebiegłe wodne pannice. Napędzał go kruszec i zainteresowane spojrzenia słuchaczy; wyszczerbiony denar otwierał usta, misa podłej żółtawej zupy rozwiązywała język, a kielich podpalanej wódki pobudzał zwoje myślowe. Czerstwa buła starczyła, by zachęcić go do zmyślenia. Kulawy pirat nie miał chyba dokąd iść – zasiedział się w tawernie na wiele miesięcy, może lat. Tamtej nocy, kiedy opowiedział Johannowi o kławie, zdążył zamroczyć się winem tak potężnie, że oczy błyszczały mu niezwykłym blaskiem. Przeważnie jednak mamrotał pod nosem. Grzebiąc małym palcem po dnie miski, upstrzonej ościami po rozgotowanej potrawce, szeptał podróżnemu do ucha niestworzone historie, wydmuchując kątem ust siny dym pociągany z glinianej fajki.

Johann nie miał nic przeciwko temu. Wsluchiwał się w chrapliwy głos kuternogi, wyluskując z beładnej opowieści skrawki zasłyszanych dawniej legend. Dla wprawionego ucha górskie przesmyki, doliny rozpięte u zbiegu rzek, królewskie lasy, stepy i pustynie wypełnione były słowami, które opowiadały o magii. Uważał się po trochu za kolekcjonera – ze wszystkich swych talentów umiejętność słuchania uznawał za najcenniejszą. W tamtym czasie był młodym mężczyzną, ledwie rok wcześniej zakończył pobierać nauki u mistrzów sztuk. Wierzył w swoje ideały; a jednym z nich, usilnie pielęgnowanym w sercu, było przekonanie, że poszukując wiedzy o magii najpierwotniejszej, najwięcej prawdy odnaleźć można w bajaniach wieśniaków wszystkich wysp i kontynentów. Przez prosty lud przemawiała prawda. Kiedy więc sędziwy pirat przysiadł się do niego i zaproponował uczciwą wymianę napitku za opowieści niesamowite, zgodził się, a każdy skrawek opowieści wysupływał, krzyżując pod stołem trzy palce, i nawijał na niewidzialną szpulę, unosząc się kilka stóp nad stołem. Magia szemrała potulnie, niewidoczna dla wzroku – goście tawerny, obmierzłe typy, które dopiero co zlały z pokładów rybackich kutrów, omijali zawiniętego w opończę mężczyznę szerokim łukiem, jakby podświadomie wiedzieli, że nie ma co pchać się w stronę obcego.

Od roku był w podróży – przywilej próżniaczki kasty czarnoksiężkiej. Wędrował pozornie bez celu, tułał się po skalistych archipelagach i gęsto zaludnionych miastach Kontynentu, szukając śladów bytności stworzeń, dla których sfery magii stanowiły siedlisko naturalne, matecznik, który zarazem skrywał ich

ruchy. W akademii uczono, że świat zmieniał się wraz z każdym przemijającym rokiem; ambicją młodzieńca było uchwycenie tego, co oparło się zapomnieniu.

– Wtedy, wtedy niebo zagorzało ogniem – szeptał z przejęciem pirat, omotany zaklęciem. – Ifryt, bestia ognista, splunął na maszt i płomienie oblażył statek. Ależ się paliło! Żagle zniknęły w mgnieniu oka, jeszcze zanim sternik zakrzyknął na alarm! Potem wszyscy już wrzeszczeli, a co, co mieliśmy zrobić, jak ta bestia płomienna zawisła nad mostkiem i zaśliniła wszystko i wszystkich pożogą? Ktoś się dał „Do wody!”, skoczyli, ale kipiel już wrzała, zasolony wrzątek wlał się im w oczy, do ust, nie mogliśmy nic zrobić. Piekło! Rozwścieczyliśmy demona... – Cmoknął. – Jedna szalupa ostała, szczęśliwie dobiliśmy do brzegu.

Mężczyzna skinął nieznacznie głową, zachęcając starca do kontynuowania opowieści. Urywane wątki częstokroć nikiły w bełkocie bądź zagłuszał je kaszel, towarzyszący każdemu wydmuchowi dymu; opiumowa fajeczka mroczyła zmysły opowiadającego, czarnoksiężnik musiał wspomagać się drobnymi pchnięciami czarosplotów. Za oknami noc przysiadła na nadmorskiej osadzie, skłaniając ludzi do ciśniejszego skupienia się wokół płomyków świec. Johann poprosił o karafkę wina. Myślami wybiegał poza snującą się narrację siwego pirata, planował swe dalsze ruchy – ciągnęło go na północ Kontynentu, chociaż rozsądek podpowiadał, że może już czas osiąść gdzieś na dłużej, skatalogować wszystko to, o czym się dowiedział przez miesiące tułaczki. Nie mógł zdobyć się na podjęcie decyzji.

Byłby może opuścił zadymioną tawernę, gdyby nie niespodziewane ożywienie podbitego i ogłupionego zaklęciami kuternogi, który wyrwawszy się z zamyślenia, w jakim trwał od dłuższego czasu, gwałtownie chwycił maga za rękę.

– Bestia wyskoczyła z pękniętego czerepu kapitana, w locie rosła jak cień o zmierzchu, nim dotknęła ziemi, była już wielkości dzikiego kociska. A potem rosła dalej, olbrzymiała, potworniała. – Pisnął, skrywając twarz w dłoniach.

Johann poklepał go uspokajająco po ramieniu (wiązka zaklęcia usadziła pijaczka na krześle), nachylił się nieco konfidencjonalnie nad stołem. Z rosnącym zdziwieniem słuchał nowej opowieści starego bosmana. Rozproszył szpulę pamięci, dotąd rejestrującą głos pirata, i zaczął sam uważnie zapamiętywać wszystko to, co starzec miał do powiedzenia.

Wtedy, słowo po słowie, poznał historię o konwentyklu Sióstr Lunarnej Oka.

Lata temu stary bosman, będący wtedy jeszcze bosmanem młodym, służył na okręcie dowodzonym przez pirata zwanego Barakudą. Był to krwiożerczy morski koń, postrach transoceanicznych rejsów, którego działalność napędzała zawziętość i pragnienie rewanzu. Zdarzyło się bowiem jednego razu, że goniąc za łodzią jednego z Iglicowych Plemion, okręt Barakudy został przenicowany tubylczą kłutwą rzuconą przez ichniego szamana,

O MAŁO NIE OSZALELIŚMY Z RADOŚCI

(We Were Out of Our Minds with Joy)

Na jej niesamowitą twarz wypełził lekki grymas niezadowolenia, jednak szybko znowu się uśmiechnęła.

– W Budapeszcie – odparła.

– W Budapeszcie – Henry powiedział w mojej głowie. – *Wybacz, Sam, ale jej system nie chce się ze mną komunikować. Muszę posilkować się ogólnodostępnymi źródłami. Jest jakimś wielkim prokuratorem w multinarodówkach. Obecnie działa jako wolny strzelec. Właśnie skanuję w poszukiwaniu danych biograficznych.*

– Masz nade mną przewagę – powiedziałem do kobiety stojącej po drugiej stronie globu. – Nie przywiązuję większej wagi do prawa, biznesu czy polityki. A mój lokaj jest pomocnikiem artysty, nie szpiegiem. – O ile nie wyświetlała proxy, cała ta Eleanor Starke była zgrabną, niebrzydką kobietą, na oko przed trzydziestką. Miała rudozłote włosy, pełne usta, bardzo wyraźne brwi, słodką, okrągłą, upstrzoną rozbrajającymi piegami twarz. Zbyt słodką jak na prokuratora. Z drugiej strony w jej oczach nie było nic słodkiego. Wyzierały spod jej rzęs jak drapieżne węgorze ukryte w rafie koralowej. – A poza tym – dodałem – właśnie wychodzę.

– Tak wcześniej? – spytała. – Szkoda. – Jej krzaczaste brwi opadły z rozczarowania. – Nie zostałbyś chwilę dłużej?

– Sam – szepnął Henry – *żadne opublikowane podsumowania biograficzne na jej temat nie są zgodne co do najbardziej podstawowych informacji, nawet co do daty urodzin. Może mieć od 180 do 204 lat.* – Zdałem sobie sprawę, że ta kobieta musi być bardzo wpływowa, skoro potrafiła namieszać w zabezpieczonych publicznych bazach danych. – *Ale People Channel ostatnio oznaczył ją jako potencjalną znaną osobistość. W ostatnich miesiącach często widywano ją w towarzystwie przeróżnych artystów: pisarzy, tancerzy, dyrygentów, holografików, kompozytorów.*

Eleanor skubnęła kawałek jakiegoś ciastka. – Ja właśnie jem śniadanie. Szkoda, że nie mogę cię poczęstować. W Stanach nic nie może się z tym równać. – Otarła wargi z okruszków. – A tak swoją drogą, twój lokaj, ten twój... Henry... jest cudaczny. Może mam słabość do artystów, no i co z tego? – Byłem zaskoczony; udało jej się podsłuchać mój system. – Nie rób takiej zdziwionej miny – powiedziała. – Twoje łącze nie jest najlepiej zabezpieczone; praktycznie wysyłasz swoje myśli w eter. Kiedy ostatnio aktualizowałeś protokół prywatności?

– Nie ma co, wiesz, jak oczarować faceta – stwierdziłem.

– Nie o to mi chodzi.

– A więc o co?

– Na początek: o kolację. Jutro będę w Nowym Jorku.

Rozważałem jej zaproszenie; pomyślałem, że to mogłaby być jakaś rozrywka. Potrzebowałem akurat rozrywki. Musiałem uciec od własnych myśli. Miło by było zaliczyć jakąś panienkę, ale na pewno nie Eleanor Starke, nie tę pozbawioną skrupułów łowczynię głów. Znałem w mieście z pół tuzina innych kobiet, z którymi wołałbym spędzić czas.

Nie, tak naprawdę przyjąłem zaproszenie, ponieważ zaciękały mnie jej brwi. Nie wątpię, że Eleanor Starke zleciła komuś przerobienie swojej twarzy – być może na podstawie jej pierwotnych rysów. Ukształtowała własną twarz tak, by stała się kolejną chytrą bronią w jej arsenale podłych prawniczych sztuczek. Dzięki takiej fizjonomii wyglądała na bezbronną i delikatną. Mogła grać na uczuciach przysięgłych. Mogła nabierać zarządy korporacji, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Ale te brwi? Były potężne. Kiedy mówiła, podskakiwały i wyginały się w rytm jej słów. Rozpraszały uwagę – zwłaszcza jeśli było się artystą. Złapałem się na tym, że gapiłem się prosto na nie. Jako grafik, jako malarz starej daty, miałem nieodpartą ochotę trochę je zmniejszyć, odrobinę pocienić. W ciągu naszej pięciominutowej rozmowy jej brwi zdążyły całkowicie pochłonąć moją uwagę. Ja sam nigdy nie namalowałbym czegoś takiego. Wtedy dotarło do mnie, że to musiały być jej naturalne, niezmienione brwi – przecież żaden licencjonowany, dbający o swoją reputację projektant fizjonomii nie zdobyłby się na wprowadzenie takiej modyfikacji. Cała ta Eleanor Starke, rekin multinarodowych sądów, mogła ukształtować rysy swojej twarzy tak, by działały na jej korzyść, mogła nawet zamówić swoje piegi, ale co do jednego nabrałem pewności: takie krzaczaste brwi miała już jako dziecko. Połknąłem haczyk, podobnie jak cały szereg artystów przede mną.

– Może nie kolację – odparłem – ale co powiesz na lunch?



Po lunchu, jak to nieraz bywa, przyszła pora i na kolację. Brwi były prawdziwe, nie wyłączając barwy. Przez następnych parę tygodni sprawdzaliśmy łóżka w naszych rozlicznych mieszkaniach rozsianych wzdłuż całego wschodniego wybrzeża. Wkrótce jednak smak nowości zniknął. Eleanor przestała dzwonić do mnie, ja przestałem dzwonić do niej; czuliśmy już przesyty, a przynajmniej tak mi się zdawało. Wyjechała na długą wycieczkę poza Protektorat. Po miesiącu ktoś zadzwonił do mnie z Pekinu. To była jej sekretarka do spraw kalendarza – spytała, czy zechcę umówić się z Eleanor na jutro na hololunch. Jej późny lunch w Chinach zbiegnie się

Odnalezienie zatopio

Od 50-ciu lat mówi się w kołach naukowych o możliwości istnienia zatopionego ładu, który łączył Afrykę z Indiami. Jeszcze przed pojawieniem się człowieka na ziemi. Ładowni temu nadano nazwę Lemuria. Inni znowu chcieli w nim widzieć legendarną Atlantydę. Obecnie udało się na poszukiwanie tego ładu ekspedycja oceanograficzna na rzecz której ofiarował prof. John Murray 20.000 funtów. Ekspedycja wyruszyła z Aleksandrii na małym statku „Mababis”. Przez długie miesiące prowadzono badania nad dnem morskim w oceanie Indyjskim i na morzu Arabskim. Członkowie tej ekspedycji nadesłali do laboratorium geologicznego w Cambridge okazy nieznanych dotąd stworzeń głębokomorskich oraz

WYDAWNICTWO JAGUAR „PARTIALS”

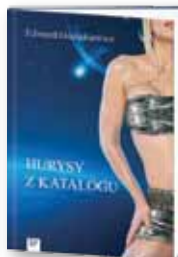
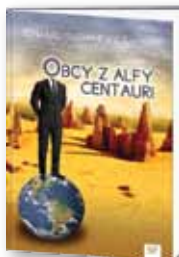


Jaki tytuł będzie nosiła najnowsza powieść Dana Wellsa, której wydanie zaplanowane jest na lipiec 2013?

Rasa ludzka wymiera. Po wojnie z Partialsami, wyhodowanymi w laboratoriach, zmodyfikowanymi genetycznie żołnierzami, pozostała ledwie garstka ocalałych. Ale to nie krwawe walki zdziesiątkowały ludzkość. Partials, niewdzięczne dzieci naukowców, wypuścili śmiertelny wirus, RM, który wybił ponad 99% ludności. Od ponad dekady na świat nie przyszło ani jedno zdrowe dziecko...

Wśród czytelników, którzy do końca marca nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Jaguar.

WYDAWNICTWO DREAMS „HURYSY Z KATALOGU” I „OBCY Z ALFY CENTAURI”



Jaką mikropowieścią zadebiutował autor „Hurys z katalogu” i „Obcy z Alf Centauri”?

Mający ponad sto dwadzieścia lat Groom chciał za wszelką cenę się odmłodzić. To była jego idea fixe. Jedynie zamożni, mogli sobie pozwalać na takie kaprysy. Zagubiony w dżungli Ganimesa ośrodek, w którym rezydował, łączył się z dużym laboratorium badawczym. Mrowie ściągniętych tam naukowców z różnych branż trudziło się nad opartym na retelcie eliksirem młodości.

Wśród czytelników, którzy do końca marca nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma dwie książki ufundowane przez Wydawnictwo Dreams.

WYDAWNICTWO BIS „SAMOTNICA”



Gdzie została napisana powieść „Zły brzeg” Piotra Patykiewicza?

Trzej koledzy – Szuffa, Pawian i Karoten – w czasie ferii zimowych nudzą się przy trzepaku, narzekając na beznieżną zimę. Od przechodzącego przez podwórko zbieracza złomu dostają szamański bębenek i wtedy okazuje się, że jeden z nich ma niezwykle umiejętności posługiwania się tym instrumentem. Transowy rytm bębna przenosi chłopców do skutej lodem, śnieżnej i mroźnej krainy, gdzie będą musieli sobie radzić.

Wśród czytelników, którzy do końca marca nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Bis.

ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 01/2013 „NF”

Wydawnictwo Rebis „Chodząc nędznym ulicami”

George R.R. Martin, Gardner Dozois, wspólnie z Danielem Abramem, napisali powieść „Wyprawa łowcy”.

Jakub Stojanowski – **Góra**
Łukasz Rapecki – **Warszawa**
Olga Rutkowska – **Wrocław**
Grzegorz Gazy – **Sosnowiec**

Nadia Gruska – **Bydgoszcz**
Marta Fudała – **Jaworzno**
Łukasz Buchalski – **Wrocław**
Marcin Grzeszczak – **Kłeczew**

Monika Curyło – **Kraków**
Justyna Berger – **Konin**

Wydawnictwo Prószyński i Ska „Długa ziemia”

Pierwsza nagroda literacka otrzymana przez Stephena Baxtera to BSFA Awards.

Eulalia Czaban – **Katowice**
Katarzyna Wojowska – **Żukowo**
Gabriela Palicka – **Katowice**
Agata Zachmacz – **Łódź**

Karol Tabasiewicz – **Pruszcz Gdański**
Izabela Ukleja-Lubińska – **Gdańsk**
Barbara Pełka – **Gdańsk**

Anna Szura – **Szymbark**
Mirosław Rudnicki – **Łódź**
Krzysztof Danielak – **Katowice**
Jelenia Góra

W DARMOWYM PDF-IE Z FRAGMENTAMI „NF” NA WWW.FANTASTYKA.PL

„Chmurki za miedzą” Pawła Deptucha



„Inne recenzje”
Marcina Orlika

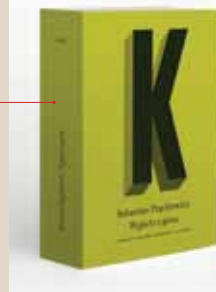


Recenzje filmowe
i DVD:

„Hansel & Gretel – Łowcy czarownic”,
„Bestie z południowych krain”,
„Abraham Lincoln – łowca wampirów”



Maciej Parowski
o sytuacji komiksu
w Polsce



TEGO NIE ZNAJDZIECIE NIGDZIE INDEJ!



Prószyński Media Sp. z o.o. ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

PRENUMERATĘ WYKUPISZ,

WPLACAJĄC ODPOWIEDNIĄ KWOTĘ NA KONTO:

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

LUB PRZEZ STRONĘ INTERNETOWĄ

www.ksiegarnia.proszynski.pl

ZASADY
PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

MASZ PYTANIA?

➤ **zadzwoń:** (22) 27 81 727

➤ **napisz:** Prószyński Media Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
lub prenumerata@proszynskimedia.pl

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

CENA ROCZNEJ PRENUMERATY „NOWEJ FANASTYKI” – **TYLKO 84 ZŁ.**
PŁACISZ ZA 8 NUMERÓW, DOSTAJESZ 12!

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

Powrót do jednego z najpopularniejszych uniwersów w historii SF!

**Zanim narodził się Ender, ludzkość
walczyła w I wojnie z Formidami**

SĄDZILIŚMY, ŻE JESTEŚMY SAMI W GALAKTYCE.

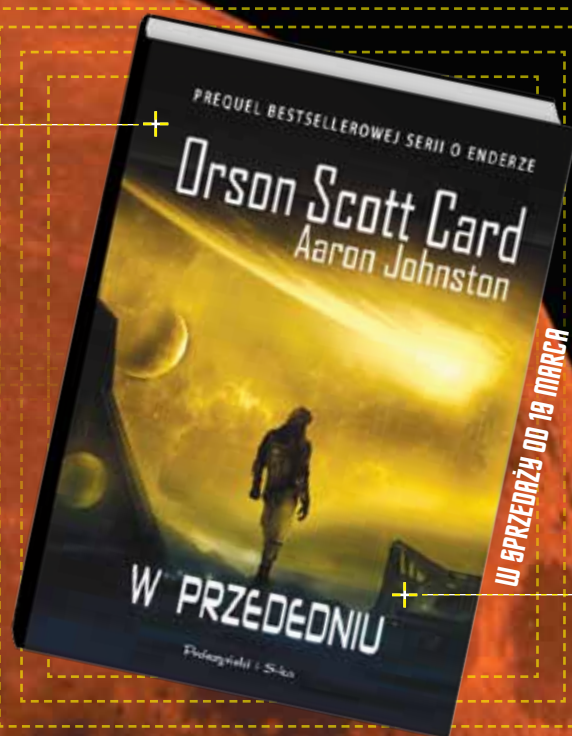
**POWOLI TOROWALIŚMY SOBIE DROGĘ Z ZIEMI DO PLANET
I ASTEROID UKŁADU SŁONECZNEGO, PROWADZĄC PRACĘ BADAWCZĄ,
POZYSKUJĄC MINERAŁY I ZAKŁADAJĄC KOLONIE.**

BYLIŚMY NAIWNI. I WKRÓTCE ZOSTANIEMY ZA TO UKARANI

— NA GRANICACH UKŁADU NASZE TELESKOPY WYKRYŁY NIEZNANY OBIEKT

— JEST OLBŻYMI I PORUSZA SIĘ NIEMAL Z PRĘDKOŚCIĄ ŚWIŁTA.

Formidzi nadlatują!



Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 22 27 81 792
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M, tel. 22 607 79 10
magdalenaszwed@firma2m.pl

REDAKCJA:

Jakub Winiarski
redaktor naczelny
jakubwiniarski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalzetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierchowski
Dział Literatury Obcej
marcinzwierchowski@fantastyka.pl
Jerzy Rzymowski
Dział Publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skróć. Za treść reklam
nie odpowiada.

Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

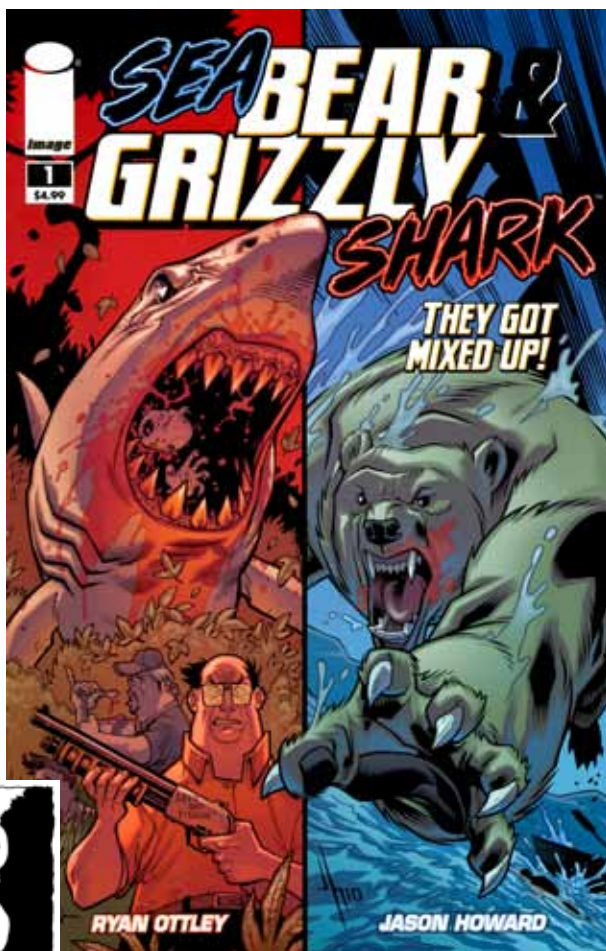
Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek, Paweł Deptuch, Arkadiusz Grzegorzak, Agnieszka Haska, Rafał Kosik, Joanna Kulakowska, Kamil Lesiew, Waldemar Miśkiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek, Piotr Piękosz, Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan, Peter Watts.

[Proszę czekać. Trwał ładowanie zabawnego tekstu...]

WSZYSTKO IM SIĘ POMIESZAŁO

PAWEŁ DEPTUCH

Rekin buszujący w lesie?
Niedźwiedź jako drapieżnik głębinowy?
Oto przed Państwem
przykład **neosurrealizmu**.



Niedźwiedź, jak wiadomo, to najgroźniejsza bestia polująca w morskich odmętach. Choć bardzo rzadko, ale zdarza się, że ten agresywny ssak pojawia się u wybrzeży lądów celem schwytania co lepszego, ludzkiego kęsa. Rekin z kolei, to najniebezpieczniejsze stworzenie lądowe, najczęściej zamieszkujące gęste lasy. Ten idealny zabójca potrafi wyczuć krew z odległości nawet kilkunastu kilometrów, a ofiarę rozszarpać w mgnieniu oka. Oba te stworzenia zamieszkiwały Ziemię w czasach, kiedy czas nie był jeszcze czasem, a przestrzeń przestrzenią, gdzie lądy były oceanami, a oceany lądami. I nadeszło Wielkie Odwrócenie, które sprawiło, że nasza planeta wygląda tak, jak dziś ją znamy i widzimy. Wtedy też wspaniałe morskie stworzenia jak słoń, wilk czy ptak musiały osiąść na lądzie, a równie wspaniałe stworzenia lądowe jak wieloryb, ryba czy delfin zostały zmuszone do życia w wodzie. Jednak jednemu pechowemu niedźwiedziowi i rekinowi... wszystko się pomieszało.



okazję i zbiegł z pola walki aby załatwić prywatne porachunki. W pościg za nim wyrusza jeszcze bardziej podrasowany robot... „Sea Bear” to feeria krwawych potyczek, bijatyk i wybuchów przyprawiona odrobiną absurdu, patetycznych dialogów, z zacięciem mocno rozrywkowym. Prosta historyjka o wendecie to w rzeczywistości pretekst do zabawy motywami science fiction i schematami z horrorów znanymi z kina i literatury. Nie aspiruje do niczego więcej niż wystrzałowego blockbustera klasy B.

Natomiast opowieść Ryana Ottley’a o rekinie grizzly to prawdziwa jazda bez trzymanki. Kalejdoskop coraz bardziej niedorzecznych scen i sytuacji, którym bez wyjątku towarzyszy unikatowy czarny humor.

Każda kolejna plansza to przykład słownego bądź sytuacyjnego żartu dodatkowo potęgowanego przez quasi dramatyczne wydarzenia. Ojciec i syn biwakują w lesie. Ten drugi kaleczy się i w mgnieniu oka traci dolne kończyny na rzecz czujnego rekina. Ci dwaj wraz z dwoma kuzynami i wynajętym łowcą oraz ich próby ukrycia się / upolowania bestii stanowią trzon fabuły. Jednak jest ona tu najmniej ważna, czego autor jest nad wyraz świadom. Prym wiodą bowiem pojedyncze komediowe sceny i równie barwne co zabawne prostolinijne postacie. Próby ratowania syna poprzez wrzucenie go na ognisko celem przypieczenia ran, zostawienie go na pastwę drapieżnika i bohaterska ucieczka ojca oraz absurdałe dowcipy o braku nóg wywołują spazmy niepohamowanego rechotu. Nie zapomnijmy jednak o rekinie, w końcu on jest tu gwiazdą. Kadry z jego udziałem to prawdziwie perełki. Krew ofiar wyczuwa z bardzo daleka, a jego umiejętności poruszania się w przestrzeni są zadziwiające, toteż najdrobniejsza ranka to praktycznie wyrok śmierci. Po

Tak we wstępie do mini-albumiku „Sea Bear & Grizzly Shark” Robert Kirkman opisuje świat, w którym rozgrywają się dwie niezależne od siebie opowieści. Pierwsza z nich, stworzona przez Jasona Howarda, traktuje o morskim niedźwiedziu zamieszkującym okolice Karaibów. Podczas wakacji morduje on całą rodzinę, a z pogromu uchodzi jedynie chłopiec, świadek wydarzeń. Po dwudziestu latach wraca na wyspę, aby dokonać krwawej zemsty. Odkrywa, że jej mieszkańcy to niebezpieczni kultuści-hybrydy, potomkowie niedźwiedzicy, składający jej w ofierze turystów. Pete, mściciel, ma jednak w rękawie asa. Tak naprawdę jest zaawansowanym technicznie cyborgiem bojowym na usługach amerykańskiego rządu. Wykorzystał



ułamku sekundy od pierwszej krwi dopada skałkowego wspinacza, by chwilę potem w głębi lasu zaatakować urządzającą piknik wielodzietną rodzinę, a następnie na jego obrzeżach pożera spacerującą kobietę z miesiączką. A to nie wszystko; pomysłów na dostarczenie groteskowych scen Ottley'owi naprawdę nie brakuje.

„Sea Bear & Grizzly Shark” można spokojnie utożsamić z coraz popularniejszym gatunkiem literackim jakim jest bizarro. Album (a przynajmniej jego druga połowa) zdecydowanie wyłamuje się ze znanych schematów. Atakuje czytelnika przede wszystkim wykreconym pomysłem, brutalnym czarnym humorem, groteskowymi scenami i kreatywnością. I choć fabuły są w nim jedynie pretekstem, pozwalają bezpretensjonalnością i spontanicznością. A zrodziły się one pewnie w trakcie trwania spawania konwentu. Jak za starych czasów, niczym skauci przy ognisku, Ottley i Howard w hotelowym zaciszu torpedowali się głupkowatymi historiami. Od słowa do słowa, na kompletnym luzie, zasiali ziarno, które w kolejnych miesiącach urabiali na zdatny do spożycia produkt. Produkt, który się przyjął. Znalazł się w połowie TOP10 najlepszych zeszytów 2010 r. (jako najbardziej zaskakujący i najzabawniejszy tytuł) i został nominowany do prestiżowej Eagle Award w kategorii ulubiona pojedyncza opowieść. Również cały nakład, a także dodruk rozszedł się jak ciepłe bułeczki. Sequel pozostaje więc tylko kwestią czasu.

Oby autorom nic się nie pomieszało i byli w stanie dostarczyć satyrę przynajmniej na podobnym poziomie. A zapowiedź crossovera daje taką nadzieję.





PO CO TE BESTIE?

Film Zeitlina jest jak jego bohaterowie
– chaotyczny, ale ma swój urok.

FILM

Z nieznanym mi przyczyn pełnometrażowy debiut Benha Zeitlina zaczęto klasyfikować jako film postapokaliptyczny, czasami także jako magiczny realizm. Fakt, jest w nim powódź, nie ma jednak mowy o ogólnoświatowej katastrofie. A magia? Zapewne chodzi o tytułowe bestie, nie za bardzo jednak wiadomo, czym są i po co właściwie gdzieś biegać, a ich wpływ na fabułę jest trzeciorzędny.

Czym więc są „Bestie...”? To opowieść o wyrzutkach. Ponad bezpieczeństwo bohaterowie filmu cenią sobie wolność i niezależność, wołają więc jeść ochłapy i ukrywać się przed ekipami ewakuacyjnymi, niż dać się zamknąć w jakimś rządowym ośrodku. W tym wymiarze film Zeitlina jest więc pochwałą prostego stylu życia, wolności i krytyką bezdusznej biurokracji, chcącej na siłę uszczęśliwiać obywateli.

Jest to też opowieść o trudnym ojcostwie. Wink wydaje się szorstki, sprawia wrażenie, jakby mu nie zależało, tak naprawdę jednak córka to jego priorytet, a cała ta agresja, ten gniew to sposób przygotowania dziewczynki na życie bez niego. I w zasadzie pod tym względem „Bestie...” są filmem apokaliptycznym, bo dotyczą małego końca świata, zagłady dotyczącej małej dziewczynki, dla której odejście rodzica właśnie to oznacza.

I aż trudno uwierzyć, że nominowany do Oscara film trzyma się głównie na kreacjach dwojga absolutnych debutantów, absolutnie nie zawodowych aktorów. Cała uwaga skupia się oczywiście na młodziutkiej Quvenzhané Wallis, warto jednak także docenić Dwighta Henry’ego, który doskonale oddał dwoistość natury swojego bohatera.

Jednocześnie film Zeitlina jest bardzo chaotyczny. Historii daleko do spójności, to filmowy kolaż, w którym mieszają się różne wątki, niektóre elementy ktoś z kolei dodał bez żadnej wyraźnej przyczyny (tytułowe stwory). Czy to źle? Chyba nie. Osobiście preferowałbym jednak większą spójność, tak aby do ciekawych zdjęć i świetnych kreacji aktorskich dodać interesującą opowieść. Skupiłbym się także na kilku wybranych tematach, zamiast skakać, jakby reżyser nie mógł się zdecydować, co chce przekazać. Chociaż z drugiej strony – czyż ten chaos nie jest nieodzownym elementem filmu? W pewnym sensie pasuje do świata i bohaterów.

Marcin Zwierchowski



BESTIE Z POŁUDNIOWYCH KRAIN (Beasts of the Southern Wild). Reżyseria: Benh Zeitlin. Scenariusz: Benh Zeitlin, Lucy Alibar. Zdjęcia: Ben Richardson. Muzyka: Benh Zeitlin, Dan Romer. Występują: Quvenzhané Wallis, Dwight Henry. USA 2012

KRWAWO I ŚMIESZNIE

Jaś i Małgosia opowiedziani na nowo
– czyli dużo krwi, one-linerów, ale i niezła zabawa.

FILM 



do perfekcji opanowując fach łowców czarownic. A jak to możliwe, że dwoje dzieciaków pokonało tak groźną istotę? Wirkola ma na to pomysłowe wytłumaczenie.

I jak nietrudno się domyślić, owa teoria to punkt wyjścia do wielu efektownych naparzanek z wiedźmami, przy czym kluczową rolę odgrywają niemożliwie przerysowane gadżeciarskie pistolety i karabiny, a także skórzane wdzianka – zwłaszcza kreacja Gemmy Arterton. Wizualnie obraz Wirkoli wiele ma wspólnego z „Van Helsingiem”, również garściami czerpiąc z estetyki steampunkowej. Główna bohaterka ma nawet – jak łowca wampirów, Hugh Jackman – coś w rodzaju kuszy maszynowej, z której pruje do wiedźm jak z kałasznikowa. Także wizerunki wiedźm, podobnie do krwiopijców z obrazu Stephena Sommersa, są nie tyle przerażające, co raczej stanowią typowo hollywoodzkie wyobrażenie grozy – czarne oczy, biała skóra i wielka paszcza.

Nie można jednak „Hanselowi i Gretel” odmówić jednego – w swojej klasie to obraz zaskakująco dobry. Jest krwawy, miejscami zabawny i efektowny. Nie uświadczymy za to zbyt wiele patosu, a i w fabule trudno znaleźć jakieś większe dziury. Owszem, czuć niesamowitą skrótowość (film trwa zaledwie 1,5 godziny), niektóre sceny aż proszą się o rozbudowanie (brak nakreślenia głębszej relacji między rodzeństwem), ale też dzięki temu na brak akcji trudno narzekać.

To typowy hollywoodzki blockbuster, Wirkoli udało się jednak uniknąć charakterystycznych dla tego typu filmów wad scenariuszowych. Jego historia jest prosta i krwawa. Jeżeli ktoś lubi taką konwencję, nie powinien się zawieść.

Marcin Zwierchowski

Fabryka Snów lubi sprzedawać nam historie, które już znamy. Wystarczy wspomnieć „Nieustraszonych braci Grimm” oraz niezbyt udanych „Królową Śnieżkę i Łowcę”. Poziom tego typu produkcji jest różny, ze wskazaniem na zły, Hollywood się jednak nie poddaje.

„Hansel i Gretel” to kolejna tego typu próba. Mamy więc znaną bajkę i lubianych bohaterów, których dalsze losy poznajemy. Zastanawialiście się kiedyś, co stało się z Jasiem/Hanselem i Małgosią/Gretel po tym, jak zabili usiłując ich pożreć wiedźmę? Otóż urocze dzieciaczki podrosły,



HANSEL I GRETEL: ŁOWCY CZAROWNIC (Hansel and Gretel: Witch Hunters). Reżyseria i scenariusz: Tommy Wirkola. Zdjęcia: Michael Bonvillain. Muzyka: Atli Örvarsson. Występują: Gemma Arterton, Jeremy Renner, Famke Janssen. Niemcy/USA 2013



WOJNA SSIECESYJNA

Wyobraźnia w obrazie to nie wszystko.

Film potrzebuje też spójnego scenariusza.

FILM



DODATKI



„Abraham Lincoln: łowca wampirów” to ekranizacja powieści Setha Graeme-Smitha, który jednocześnie jest scenarzystą filmu. Jak tytuł wskazuje, mamy do czynienia z dość szalonym pomysłem na przedstawienie nieznanych kart z życiorysu wielkiego amerykańskiego prezydenta. Życiową misją Lincolna jest wytępienie krwio pijców odpowiedzialnych za śmierć jego matki i dążących do zniewolenia ludzkości. Jego polityczna kariera ściśle wiąże się z tą sekretną walką, gdyż przywódca wampirów, Adam, wspiera Konfederatów i utrzymanie niewolnictwa. Tropienie potworów ma wpływ również na osobiste życie Abe’a, gdyż wróg nie cofnie się przed niczym, a mentor Lincolna, tajemniczy (przewidywalnie) Henry Sturges odradza mu uczuciowe zaangażowanie.

Praktycznie w każdym filmie Timura Bekmambetova od czasów „Straży nocnej” wi-

dać jego niezwykłą kreatywność i zmysł do zapadających w pamięć widowiskowych rozwiązań. Również tutaj możemy podziwiać np. scenę pojedynku toczącego przez bohaterów skaczących po grzbietach rozpędzonego stada koni. Aż się prosi, żeby powierzyć mu reżyserię filmu o superbohaterach, przy którym nie będzie musiał się hamować. Bekmambetov cierpi jednak na podobną przypadłość, co inny reżyser efektownych kinowych spektakli, Paul W.S. Anderson – do kompletnego braku mu naprawdę solidnych scenarzystów. Co prawda widz zabierający się za film o amerykańskim prezydencie polującym na wampiry zazwyczaj wie dokładnie, że nie powinien spodziewać się ambitnego kina, ale czystej rozrywce także stawia się wymagania. Przy wszystkich swoich zaletach, „Abraham Lincoln...” to film nierówny, poszarpany. Może wynika to z faktu, że scenariusz pisał Graeme-Smith i był zbyt przywiązany do swej powieści, żeby przenosząc ją na ekran dokonać zmian potrzebnych do zrobienia z ekranowej opowieści spójnej, płynnie rozwijającej się całości.

Nie uznałbym czasu poświęconego na obejrzenie filmu Bekmambetova za zmarnowany. Szkoda jednak, że z ciekawego pomysłu nie wyciśnięto więcej i bardziej błyskotliwie.

Jerzy Rzymowski



ABRAHAM LINCOLN: ŁOWCA WAMPIRÓW (Abraham Lincoln: Vampire Hunter). Reżyseria: Timur Bekmambetov. Scenariusz: Seth Graeme-Smith. Muzyka: Henry Jackman. Występują: Benjamin Walker, Dominic Cooper, Rufus Sewell. USA 2012.

MARCINA BRZOSTOWSKIEGO

ABSURDEM W KONSUMPCJONIZM, CZYLI „PODPALĘ WASZE SERCA!”

Absurd jest doskonałym narzędziem na radzenie sobie z otaczającą rzeczywistością i dlatego za książkę Brzostowskiego, o której słyszałem wiele pozytywnych opinii, zabrałem się z ochotą. Jest to krótka, wielowarstwowa pozycja z humorem, który nagle wyskakuje z pobliskich krzewów i silnie kopie czytelnika w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Zaczeptyny powiew świeżości

Głównym bohaterem, a zarazem narratorem powieści jest Karol Szrama. Na karku ma lat czterdzieści, kredyt, swą ślubną i syna Belzebuba (który naprawdę ma na imię Arkadiusz). Lubi się on zwracać do czytelników „moi mili”, oj, lubi! Do tego zaczeptynie, mocnym językiem atakuje wypaczoną rzeczywistość wokół siebie, nieraz tworząc długie listy, które przedstawia czytelnikom albo swojemu domowemu karpiovi, z którym trzyma sztamę, choć nieraz zdarzyło mu się z nim poróżnić.

Zwierzęcy absurd

Humor i absurd jest oparty na zezwierzęceniu – oto pracownik banku, biczujący niewypłacalnych dłużników, którym pracodawca nie uznał zwolnienia lekarskiego, ponieważ przeżyli (nowe prawo pracy). Autor lubi paradoksy i postanawia pokazać nasze zezwierzęcenie poprzez

antropomorfizację karpia, wiewiórki i innych stworzeń, pokazując tym samym, że zwierzęta mogą być bardziej ludzkie niż ludzie. Scena przesłuchania karpia wariografem, w której biedna ryba, pełniąc rolę psa w domu głównego bohatera zostaje zmuszona do przyznania się, że jest agentem czeskiego oddziału Al-Kaidy pozostanie na długo w mojej pamięci, podobnie jak język, którym posługuje się narrator.



Ciężki język, zwinny język

Liczne przekleństwa z reguły przeszkadzają w odbiorze lektury, jednak nie w tym przypadku; powieść jest napisana językiem niskim, ulicznym, a jednak przyjemnym – bo śmiesznym. Autor śmiało tworzy nowe metafory i często bawi się słowami, zupełnie odrzucając zwyczajową siłę napędową absurdu, którą są rozbudowane porównania, tworząc zupełnie nową jakość.

To czytać, nie czytać?

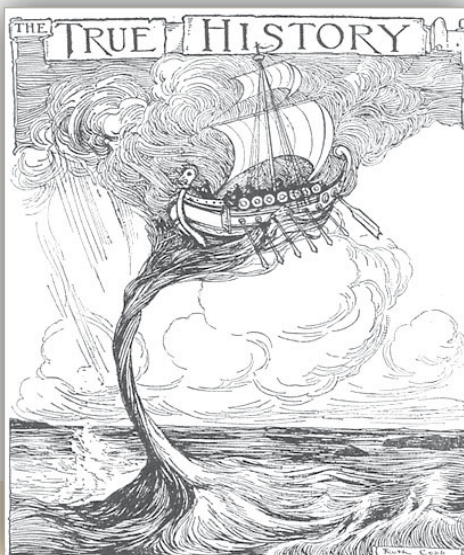
W imieniu nosorożca, który powinien od teraz być jedyną słuszną maskotką psychiatrów, wzywam do czytania. Polecam miłośnikom ruchu absurdystycznego, wielbicielom lekkiego humoru i menedżerom wielkich korporacji. Czy może wolicie bronić system?

GRECY PRZECIW SŁOŃCU, CZYLI „HISTORIA PRAWDZIWA”

LUKIANA Z SAMOSATY

W osiemdziesiąt dni na Księżyc

Jak myślicie, kiedy powstała pierwsza opowieść science fiction o podróży na Księżyc? Sto lat temu? Dwieście? No to nie zgadliście. Pierwsza opowieść fantastyczna nosząca większość cech gatunku SF powstała w okresie 165-175 n.e., a napisał ją Lukian z Samosaty. Choć dziś uznalibyśmy fabułę za prostą i naiwną, w czasach autora musiała uchodzić za rewolucyjną, nawet jeśli była tylko parodią znanych mu pisarzy



greckich. Przygoda pisarza zaczyna się, gdy Lukian i jego ludzie, wypływający statkiem za Słupy Heraklesa, zostają porwani przez wiatr na Księżyc, gdzie razem z jego władcą walczą przeciw wrogim zastępom Słońca.

To, co widzimy, jest tym, co tworzymy

Dla mnie, jako czytelnika, najciekawszy był sposób, w jaki Lukian postanowił przedstawić wojska Słońca i Księżycza – posłużył się prostym zabiegiem, składając znane sobie

nazwy obiektów, zwierząt i roślin w jedną całość i opisując je najdokładniej jak umiał, jednocześnie parodiując konwencję opisu homeryckiego. Jeden z ciekawszych fragmentów traktuje o rasie koniosępów, którzy jeżdżą na trzygłowych sępach, używając ich jako koni. Wyobrażenie cywilizacji Księżyca przebija niejedną współczesną wizję pisarską.

Powrót do źródeł

Podróż na Księżyc jest tylko jednym z wątków dzieła Lukiana; opisał on również liczne miejsca na Ziemi, a nawet zszedł ze swoimi towarzyszami do krainy umarłych. Jeśli chodzi o styl i charakter



opowieści, przypomina ona nieco „Podróż Gulliweru” Jonathana Swifta. Nieprzypadkowo zresztą – Swift jest jednym z wielu spadkobierców literackich Lukiana z Samosaty; zalicza się do nich również takich pisarzy, jak Poe, Wolter i Cyrano de Bergerac.

To czytać, nie czytać?

Opowieść Lukiana powinien poznać każdy miłośnik fantastyki, który chce poznać klasykę gatunku. Co więcej, można ją traktować nie tylko na poziomie satyrycznym, który był zamierzony; wyobrażenia greckiego pisarza zainspirowała następne pokolenia i położyła fundamenty pod gatunek znany nam jako science fiction. Lektura obowiązkowa.

KARETY WROCŁAWSKI

W GABINECIE ŻYWYCH LUSTER GERALTA Z RIVII, CZYLI „UPALNA ZIMA”

Od zawsze miałem problemy z właściwym odbiorem parodii. Zasadniczo gatunek (w mojej opinii) zakłada wypłylenie oryginalnego dzieła i przekształcenie go w taki sposób, by okazać wewnętrzną śmieszność świata i bohatera, który się w nim znajduje. Co jednak zrobić, jeśli parodia zaczyna żyć własnym życiem?

Cztery krzywe lustra

Poznajcie Waldara, zwycięzcę turnieju rycerskiego w Kresse. Ów szlachcic nosi na szyi medalion ostrzegawczy i trudni się zabijaniem potworów. Towarzyszy mu poeta, Bokanova, którego imię trudno uznać za nic nieznaczące (hiszp. boca nueva = nowa twarz). Brzmi znajomo? Czterech znanych autorów postanowiło pokazać znanego wszystkim zabójcę potworów przez pryzmat inny, niż byśmy mogli się kiedykolwiek spodziewać.

Przez piwne (i nie tylko) okulary

Otóż większość wydarzeń ma miejsce dzięki (i za sprawą) spożyciu przez Waldara i Bokanowę dużej ilości alkoholu. Jego rodzaj nie jest ważny, ważniejsza zdaje się być ilość, którą główni bohaterowie piją. Odnosi się wręcz wrażenie, że po otwarciu tejże książki czytelnikowi powinien buchnąć w twarz gryzący opar spirytusu. Tak ważna rola tego napoju (?) zaskoczyła mnie w książce, która – ponoć – miała traktować o nauce w świecie fantasy – takiej przez duże N, cytując napis z okładki.

Żywe odbicie nauki

W zasadzie większość opowiadań opiera się na prostym schemacie, polegającym na przeniesieniu do średniowiecza wynalazków z późniejszych czasów, takich jak komputer lub batyskaf, wymyśleniu jak mogłyby wyglądać, dodaniu magów, krasnoludów i podlaniu tej mieszanki dużą ilością alkoholu, który zdaje się być spoiwem łączącym wszystkie elementy. Rozumiem, że Waldar i Bokanova zaczęli jako parodie Geralta i Jaskra, ale kiedy ich odbicie w krzywym lustrze ożywa i zaczyna działać na własną rękę, czytelnik oczekuje czegoś więcej.

Parodia, nie parodia?

„Upalna Zima” doskonale broni się, jeśli jest oceniana według kryteriów parodii. Uważny czytelnik z przyjemnością odnajdzie wszystkie nawiązania do Sapkowskiego i zaśmieje się tu i ówdzie.

Z tą książką można się pokusić o utworzenie gatunku parodii alkoholowej, na zasadzie „A co by było, gdyby był pijany?”. Napis z tytułu książki jest, niestety, mylący i sprawia, że czytelnik ma wobec tekstu oczekiwania, które trudno będzie spełnić prostemu Waldarowi, spijającemu się właśnie w karczmie w towarzystwie Bokanowy. A szkoda, bo to chłop na schwał i całkiem miło go poznać.

To czytać, nie czytać?

Polecam lubiącym proste, przyjemne książki, wielbicielom Sapkowskiego lubiącym szukać odwołań do jego prozy w innych tekstach i koneserom gatunku parodii.



Uff, idę się napić. ■

SINE SMUTASY¹ I ZEPPELINY

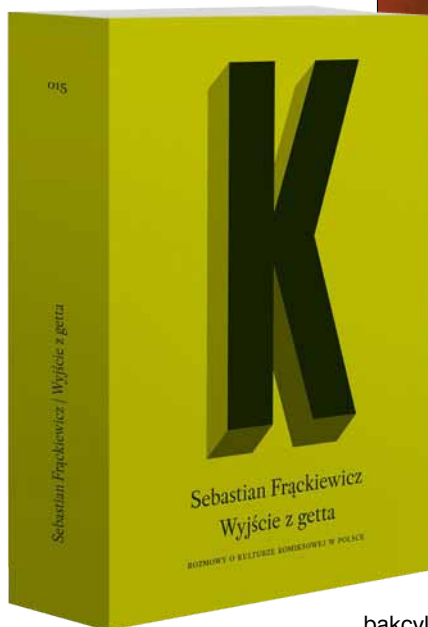
¹ Inaczej – „Sinole”. Negatywni bohaterowie filmu animowanego „Żółta łódź podwodna” George’a Dunninga z 1968 roku. Paskudne istoty nienawidzące muzyki, atakują rajską podwodną krainę Peperland złowrogimi pociskami, które wszystko zamieniają w niebieski kamień. Peperlandowi i tamtejszej kapeli „Klub Sierżanta Pieprza” spieszy z pomocą tytułowa łódź czwórki Beatlesów.

MACIEJ PAROWSKI

Przy końcu 2012 roku wyszedł irytujący i wzruszający zbiór wywiadów „Wyjście z getta – rozmowy o kulturze komiksowej w Polsce” – próba autora, Sebastiana Frąckiewicza, wyciągnięcia komiksu z izolacji, a zarazem wpuszczenia go w kanał. Książka demonstruje inny stan ducha branży od tego, w jakim do niej wkraczałem na dobre i złe w 1982 roku. Napisałem bardzo długi tekst, bo na krótki nie miałem czasu. Pełna, ale i przycięta trochę, wersja szkicu będzie w „Małpach Pana Boga. Obrazy”. To już naprawdę niedługo, choć nie wcześniej niż na przełomie marca i kwietnia.



Spełniła się klątwa Tomka Marciniaka sprzed dekady, że komiks okaże się jedyną formą popkultury, której Polska nie kupi. Ta teza kulturoznawcy z toruńskiego uniwersytetu, jeszcze ćwierć wieku temu brzmiałaby absurdalnie. Wszak podbijaliśmy Polskę „Komiksem Fantastyką”, także numery publicystyczne szły jak woda, na rynek wkraczał „Thorgale” Rosińskiego, kolejne albumy „Wiedźmina”, komiks amerykański, francuski. Ruszały wyspecjalizowane oficyny. Oddolnie powstawały interesujące fanzyny jak „Azbest” i „Produkt” czy poważny magazyn krytyczny w rodzaju „AQQ”.



ców – Gawronkiewicz, Śledzińskiego, Owedyka, Kowalskiego, Rebelki, Skutnika... rozchodzące się niestety w małych nakładach. Mimo, że niektórzy z nich odnieśli nawet sukcesy międzynarodowe.

Przerwa okazała się zbyt długa, cięcie nadto radykalne. Komiks na trwałe nie przebił się u nas do powszechnego obiegu jak w Belgii, Francji, Japonii czy Stanach. Kilku pokoleniom umknęła szansa złapania

bakcyli za młodu, w zbyt wielu kręgach nie uznawano komiksu za medium godne szacunku. Wszak nie wygląda poważnie, często bywa fantastyczny, no i nie jest (podobno) sztuką. W dodatku stracił cnotę wysługując się propagandowo komunie. Odradzającą się fascynację dławiła ekspansja nowych mediów, komiks u nas zrobił się trochę jak piękne zeppelin, który się nostalgizuje, ale się nimi nie lata. Mimo szeroko zakrojonej polityki wydawniczej Egmontu i mniejszych ale ambitnych oficyn jak Kultura Gniewu, Ongrys, Siedmioróg, Mandragora, Taurus Media, Timof i Cisi Wspólnicy, mimo, że bywa używany do odkłamywania najnowszej historii i powstają ciekawe pokonkursowe albumy Muzeum Powstania Warszawskiego, a paru twórców komiksowych dostało ministerialne medale – to więdnie na naszych oczach.

To znaczy, trwa w niszach pasjonatów, a rozkwita w październikowy weekend Międzynarodowego Łódzkiego Festiwalu. Albo podczas paru dni w roku w trakcie komiksowych targów, kiedy przypomina sobie o nim Polska.

PRZEKLEŃSTWO MARCINIAKA

Owszem kulturowa polityka komuny doprowadziła do rozluźnienia więzi z bogatym dziedzictwem komiksu międzywojnia. Ale trwało zarazem łatanie mostów dzięki aktywności weteranów – Wróblewskiemu, Chmielewskiemu, Chriście, Butence, Skarżyńskiemu. Po 1990 roku zjawiały się też nowe polskie komiksowe nazwiska: Krzysztof Gawronkiewicz z Denisem Woydą i Grzegorzem Januszem, Piotr Kowalski, Przemek Truściński, Tomasz Leśniak i Rafał Skarżycki, Tomek Niewiadomski, Mateusz Skutnik, Tomasz Tomaszewski, Jacek Fraś, Jakub Rebelka, Krzysztof Janicz (z Januszem Wyrzykowskim i Tobiaszem Piątkowskim, autorami cyberpunkowej „Pierwszej Brygady”), Michał Śledziński Ryszardem Dąbrowskim, Nikodemem Cabałą... Paru z nich odkryła właśnie „Fantastyka”. Publiczność przygotowana poetyckimi komiksami Baranowskiego, fantastycznymi Polcha, historycznymi Rosińskiego, kontrkulturowymi Mleczki mogła ze zrozumieniem oglądać albumy nowych twór-

CZAS KRYTYKÓW

Zupełnie za to przyzwoicie wygląda refleksja nad komiksem, także „NF” ma w tym względzie zauważalne zasługi. Niczym u Hegla sowa mądrości (komiksowej) wyleciała o zmierzchu – ukazując się

więc ważne książki krytyczne, łagodząc efekt upadku znaczących publicystycznych zinnów. Najważniejsze były prace Jerzego Sztyka:

„Komiks i okolice pornografii. O seksualnych stereotypach w kulturze masowej” (1996), „Komiks: świat przerysowany” (1998), „Komiks w kulturze ikonicznej XX wieku” (1999), „Poetyka komiksu. Warstwa ikoniczna i językowa” (2000), „Komiks i okolice kina” (2000). Fotografii mniemanej prosperity u schyłku PRL i euforii początków III RP dawał Bartosz Kurc w zbiorze rozmów: „Trzask prask – wywiady z Mistrzami polskiego (i nie tylko) komiksu” (2004), o komiksie międzywojennym opowiadał Adam Rusek w pracy „Tarzan, Matolek i inni. Cykliczne historyjki obrazkowe w Polsce w latach 1919 1939” (2001), by potem dać nam jeszcze „Leksykon polskich bohaterów i serii komiksowych” (2007, 2010) i pokazać trudne losy komiksu w rozpędzającym się PRL-u w „Od rozrywki do ideowego zaangażowania. Komiksowa rzeczywistość w Polsce w latach 1939 1955” (2011).

Ostatnio, przy końcu 2012 roku wyszedł zadziwiający zbiór wywiadów o kulturze komiksowej w Polsce „Wyjście z getta” – próba Sebastiana Frąckiewicza, wyciągnięcia komiksu z izolacji, a zarazem wpuszczenia go w kanał. Książka dokumentuje nowe, ekscentryczne podejście do komiksu. Chcieliśmy być dumnymi gwiazdami popkultury, przemawiać jej językiem, sięgać po jej krzykliwe figury i mitologie, nawiązać kontakt z ulicą, która winna nam była uznanie i akceptację. Frąckiewicz ciągnie w drugą stronę. Kompetentny obserwator komiksowej sceny, recenzent w paru pismach, postanawia znieśc zagonić komiks do galerii sztuki (tzw. sztuki?), podporządkować go funkcjonującym tam kuratorom. Frąckiewicz widzi w tym szansę na wyjście z getta, poszerzenie komiksu o poważne artystyczne tematy i dylematy. Liczy na życzliwość artystów, na ich publiczność i otwarcie dostępu do systemu stypendiów, wystaw, oraz teoretycznego wsparcia, dobrze działającego w systemie sztuki.

Jerzy Sztyk, bohater najważniejszego wywiadu, replikuje, że to sztuka a nie komiks od dawna jest w getcie, a na mariażu z nią komiks może jedynie stracić. Zresztą już traci, podczas eventów, gdzie pod komiks podsywa się artystowska prywatna i bлага. Nawiasem mówiąc, to zaleta książki, że krytyk, który się z autorem nie zgadza, dostał wystarczająco dużo miejsca na najlepszą wypowiedź w tomie. Zaś tych, z którymi się zgadza nie ostrzega Frąckiewicz, że brną w śmieszność i niedorzeczności – też dobrze. Pozostałym, stawiającym mu opór pozwala się wygadać, toteż pełno w książce barwnych szczegółów. Dotyczących życia codziennego, a także uwag warsztatowych i ideowych. Właśnie obyczajowa otoczka komiksowego metier w połączeniu z reprodukcjami prac, a nie cudaczna artystowska misja, są w „Wyjściu z getta” najciekawsze.

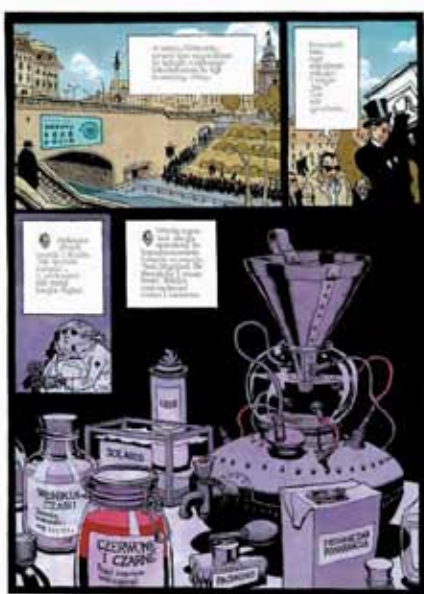
NOWI PROROCY

Wywiad z **Łukaszem Rondudą**, kuratorem Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, otwiera książkę. Rozmowa z **Jakubem Woynarowskim**, absolwentem krakowskiej ASP, prowadzącym tam teraz Pracownię Rysunku Narracyjnego, tomik zamyka.

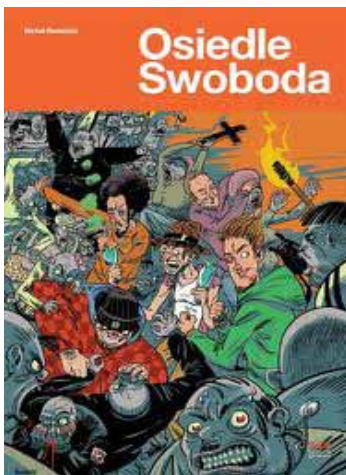
Łukasz Ronduda jest współautorem głośnej wystawy „Black and White. Niepoprawny komiks i animacja” z 2011 roku, przedsięwzięcia fascynującego i kuriozalnego. Mało było na tej wystawie



Krzysztof Gawronkiewicz



Mateusz Skutnik



Michał „Śledziu” Śledziński



rasowych komiksów poza Crumbem, Sasnałem, Raczkowskim. Organizatorzy przyrządzili całość w ten sposób, że poprosili artystów by malowali na ścianach. To się sprawdziło bo dobrze grało z architekturą (...). Ale też postanowiliśmy zagrać skalą. Wyjęliśmy jeden rysunek z kontekstu – ukrzyżowanego mężczyznę – powiększyliśmy go i umieściliśmy na całej ścianie, na osi wystawy. Dobrze się gra takimi elementami i ciekawie buduje przestrzeń.

Brzmi to inteligentnie, wygląda gorzej, jak dziecinne bohomyzy – wystarczy obejrzeć w książce zdjęcia z wystawy. No i nie przypominam w żadnym razie komiksu, który jest dla Rondudy kolejnym obszarem researchu, operuje dyskursem, a celem przedsięwzięcia było takie skonfigurowanie wystawy, żeby funkcjonowała jak pozostałe, które do tej pory robiliśmy. Podstawową zasadą naszej wystawy było zawieszenie kryterium przynależności, żeby nie trzeba było wskazywać, kto tkwi w tej, albo innej szufladce. Kto przychodzi ze świata komiksu, a kto ze sztuki współczesnej.

Tak to jest powiedziane, otwartym tekstem – komiks nie komiks, wystawę robimy po naszymu, żadnej zmiany filozofii wobec nowego medium. Czyli trzeba tak pokazać komiks, żeby nie pokazać komiksu, a wstawić w to miejsce imitację tzw artystów. Dlatego paru rasowych komiksarzy, o których Frąckiewicz szlachetnie się upomina – Krzysztof Gawronkiewicz, Dennis Wojda, Krzysztof Ostrowski – na wystawie się zmieścić nie mogło. *W świecie komiksu zaskakujące są dla mnie dość archaiczne kategorie artystyczne, jakie w nim funkcjonują i to wyszło podczas naszego researchu – wyjaśnia Ronduda. – My nie znaleźliśmy osób, które spełniałyby nasze kryteria.*

Jakub Woynarowski zdobył w 2007 roku Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Komiksów w Łodzi za pracę „Hikimori”. To była zręczna igraszka graficzna, ewoluowanie formy mineralnej czy roślinnej w paru kadrach à la japonaise. Komiksu w tym sensie, o jakim mówił Ronduda w błysku jasnowidzenia – to znaczy, że operuje dyskursami w jakie uwikłana jest jednostka ludzka, że to medium szybkiej reakcji na rzeczywistość – nie było oczywiście w tej robocie za grosz.

Woynarowski dalej funkcjonuje w ten sposób, kreując rozmyte pojęcia w rodzaju story artu, concept artu, liberatury. Studentów uczy rysunku narracyjnego posiłkując się podręcznikiem kreatywności w korporacjach. Zaprosił też, że by mu się podopieczni podciągnęli, takich tuzów komiksów jak Anda Rottenberg i Marcin Koszałka (!). Pardon – gościli również u niego rasowi spece jak Wojtek Birek i Szymon Holcman.

Woynarowski nie rozumie awantur, jakie komiksowe środowisko robi mu się o story art, a to jest pojęcie zmyłkowe, zastępcze. Szuka komiksu alternatywnego, eksperymentalnego, komiksu innego, a im bardziej szuka, tym mniej w tym komiksu. Uważa, że sztuka wskaże komiksowi nowe ścieżki, co jest bzdurą, bo to okrzyczany artysta Sasnał rznie z „Mausa”, a nie Spiegelman przerysowuje Sasnała. Chce zmusić komiksową publiczność by przyjęła perspektywę, iż dotknięcie artysty czyni sztukę, ale na tej działce nadal funkcjonują pojęcia pracy i kunsztu.

Duża część komiksarzy chyba nigdy nie postawiłaby znaku równości między wykonanym z benedyktyńską cierpliwością albumem a pracą ready made – powiada. – Wkraczając w świat sztuki musieliby pogodzić się z tym, że czasem rzecz bardzo surowa formalnie jest odbierana jako „mocniejsza” niż wirtuozerski popis warsztatowy.

Nie ufam Woynarowskiemu. Niby nie uznaje podziału na media wysokie i niskie, ale o fantastyce wyraża się z lekceważeniem, a komiks chce dosmaczać mariażem ze sztuką. Świat komiksu nie powinien godzić się na taki blagierski dyktat za żadną cenę. Mówi Woynarowski, że nie chce odbierać komiksowi jego przestrzeni, ale oczywiście zmierza do tego nieustępliwie, wykonując operacje na słowach, pojęciach, pakując go w obieg galeryjny, gdzie będą go aranżować osoby beznamiętne i niekompetentne.

Raz jeden zgadzam się z Woynarowskim, kiedy doradza komiksarzom swoisty restart z kinem, gdzie porozumienie byłoby naturalne. Fakt – te akurat media są podobne, rodziły się w jednym

czasie, od lat wpływają na siebie. Zresztą komiksarze z filmowcami już współpracują, także nasi, jako rysownicy tzw. storyboardów.

PASJONACI

Bartosz Minkiewicz – autor „Wilga”, superbohatera z Opola
Michał „Śledziu” Śledziński – człowiek instytucja, autor „Osiedla Swoboda”

Agata „Endo” Nowicka – dziewczyna komiksowego fartu

Maciej Sieńczyk – miejski artysta ludowy

Rysują komiksy bo muszą, choć każde inaczej.

AWANTURNICY

Ryszard Dąbrowski – autor „Likwidatora”

Krzysztof Ostrowski – autor „Chopin New Romantic”

Prowokują bo inaczej nie potrafią.

KUSTOSZE

Adamowi Ruskowi, pracownikowi Biblioteki Narodowej, znawcy i popularyzatorowi historii polskiego komiksu, oszczędza Frąckiewicz artystowskiej indoktrynacji. Rusek sam zrobił wystawę komiksu w Bibliotece Narodowej, obojętne się bez dziwacznych aranżacji, bez wyjmowania z kontekstu kadrów, postaci. Rozwieszone równo plansze z różnych epok przemówiły swoim głosem – dając historyczne, emocjonalne, socjologiczne świadectwo.

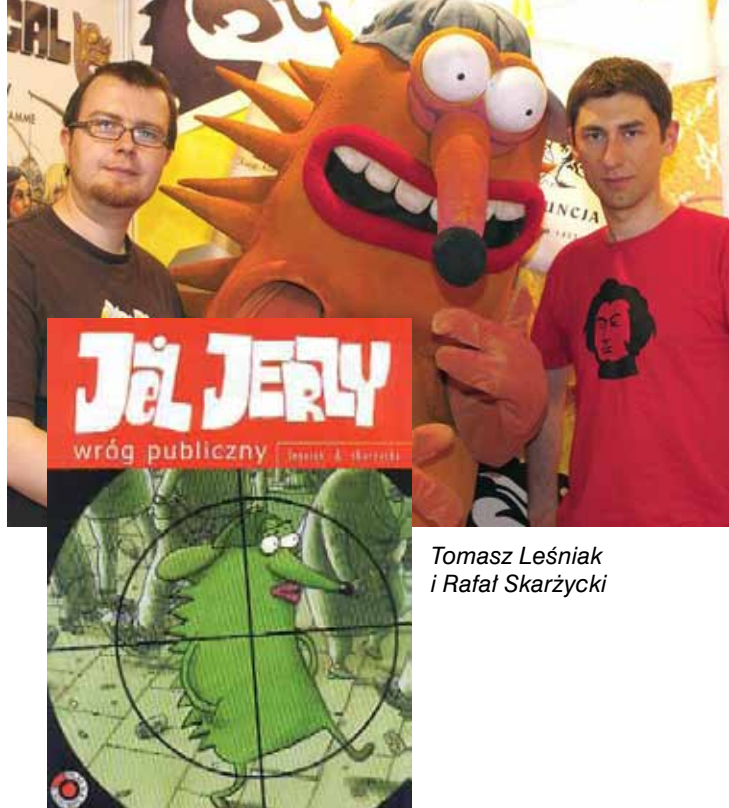
Frąckiewicz pozwala Ruskowi oprowadzać się po pismach, tytułach, tematach międzywojennego XX-lecia, kiedy komiks wyrażał mentalność mas, dotykał ważnych kwestii – niemieckiej, bolszewickiej, kryzysowej, żydowskiej. Z tym ostatnim było qui pro quo – plansze, który czujny w temacie Wojtek Orliński uznał za antysemickie, ukazały się w prasie żydowskiego wydawcy. To, co po holokaucie mogło uchodzić za nazistowski wybrzyk, w swoim miejscu i czasie było dowcipem, szmoncesem. Z tym miejscem to też ważne – komiksy przywiązane do tytułów prasowych miały regionalny zasięg; co innego oglądał Śląsk a co innego Warszawa. Zresztą i w PRL Chryste w kosmosie wcześniej poznało Wybrzeże, nam w „stolicy” gazety odmówiły tej rozkoszy.

Wygląda z opowieści Ruska bogactwo i wielość komiksowych tradycji i zadań w II RP. Kwestii jego kiczowatości (bądź domniemanego artyzmu) w znany nam dziś sposób w ogóle nie stawiano; komiks nie musiał się tłumaczyć. Ze znajomości tego dorobku wiedli się komiksowi prekursorzy komiksu w PRL – Chmielewski, Christa, Wróblewski ale też Butenko czy Kościelniak. Po wojnie dołączyły inne inspiracje. Jacek Fedorowicz uczył się rysunku na dopuszczonym na nasz rynek francuskim, lewicowym piśmie „Vailand”, także Polch opowiadał mi o tym periodyku z przejęciem. Z kolei na Mleczkę wpłynął Crumb, zjawisko z innej, bo kontrkulturowej sfery.

Uświadamia wreszcie Rusek, jaką cezurą i impulsem do poluzowania komikowi kagańca był w PRL październik 1956. I jakie artystyczne i polityczne gromy sypały się mimo to na rogi Koziółka Małotka i głowę jego twórcy Mariana Walentynowicza. Ale na przykład nie na Lengrena i profesora Filutka, bo to uchodziło za żart, rysunek prasowy, nie komiks, więc nie podlegało tępieniu. Tak samo z rubryką „Przez okulary Sławomira Mrożka” w „Przekroju” – i na nią nie było bata, póki autora nie wzburzyło wkroczenie demoludów do Czechosłowacji. A dla mnie, rówieśnika PRL, wszystko to – Koziółek, Małpka Fiki Miki, Filutek, Mrozek, Mleczko, Christa, Polch w Andach, Rosiński w Thorgallandzie, Kajko i Kokosz w kosmosie czy w Mirmitowie – okazywało się objawieniem.



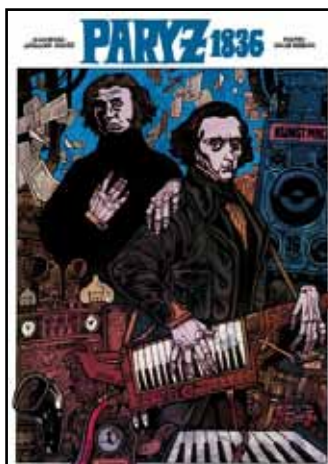
Bogusław Polch



Tomasz Leśniak
i Rafał Skarżycki



Grzegorz Rosiński



Krzysztof Ostrowski



Witold Tkaczyk, krytyk, autor paru prac, fan, wydawca zasłużonego magazynu „AQQ”, a potem wielu edukacyjnych komiksów historycznych nie ma już z autorem „Wyjścia z getta” tak lekko.

Frąckiewicz nie może zrozumieć porzucenia działalności krytycznej na rzecz albumów, które się lepiej sprzedawały od „AQQ”. Z kolei Witek za szybko zgadza się z Sebastianem, że związanie się komiksu z „F” i „NF” szybko stało się obciążeniem, bo to nie jest nobilitujący obieg. Na pewno nie jest? Czyli na próżno trwonilem czas, dowodząc ćwierć wieku temu, że z natury kadru i planszy, ze sposobu konstruowania postaci i opowieści wynika, iż nie ma praktycznie innych komiksów niż fantastyczne.

Szkoda. Akurat przykład „Mausa” – wcielenia edukacyjnej doskonałości i przełamania kanonu opowiadania o historii – powinien być dla Frąckiewicza znaczący. Bo to rewelacyjny komiks historyczny, ale fantastyczny zarazem. Frąckiewicz woła, że po „Mausie” robienie komiksów o masakrze górników w Kopalni Wujek w 1981, o fenomenie Solidarności (wielo-autorski album wydany przez Witka) o Poznańskim Czerwcu 1956 – to anachronizm. *Przecież masz świadomość*, powiada, *że te komiksy są narzędziem określonej polityki historycznej*.

A cóż to za obrzydliwa, PRL-owska fraza. Frąckiewicz też ma określoną świadomość, tyle że w inną stronę, pragnie przełamać komiksowy kanon estetyczny, patriotyczny, ofiariczny, rycerski. Namawia Tkaczyka, żeby pokazał pacyfikowanie wsi ukraińskiej w latach 30., pogrom kielecki i wydawanie Żydów Niemcom przez Polaków. Też pragnę komiksu o Kielcach, bo pogrom był przykrywką sprowokowaną przez UB, odwracającą uwagę świata od sfalszowanego referendum, od mordów na patriotach, od wiarołomnego porwaniu i sądzeniu Szesnastu w odległych Sowietach. Też podobaliby mi się w komiksie Żydzi, ale również ratowani przez Polaków. Jednak tym Frąckiewicz nie jest chyba zainteresowany. Już bardziej pomyślem Witka zrobienia albumu o ciemnych stronach Piłsudskiego.

Tkaczykowi wbija nóż w plecy **Monika Powalisz**, scenarzystka komiksowych rekonstrukcji historycznych (ciągnących ku fantastycznej symbolice), wykonanych bardzo nieudolną kreską przez różne kobiety. Wyłącznie.

Monika lubi swoją robotę, u innych dostrzega banalne pitu pitu. A komiks o bohaterstwie ojca Kolbego, to był dla niej jeden wielki rzyg. Ale dodaje przytomnie, że o wojnie, która jest kaktlizmem, przy pomocy technik realistycznych opowiadać się nie da. Powalisz preferuje ekscentryczne feministyczne ujęcia, Oświeć im chciałaby pokazać przez pryzmat losów zwiewnej haliki, a w ogóle woli opowiadanie nie wprost i szeroko rozumianą awangardę. Toteż dyskutuje z werdyktami konkursów, na których zapomniano ją wyróżnić.

Byłaby zupełnie nie do zniesienia, gdyby w pewnym momencie nie stwierdziła, że w komiksie i animacji można zrobić wszystko. Podpisują się po tym. Powalisz ma świadomość estetycznej odrębności komiksu – i ona, i Frąckiewicz, i ja gotowiliśmy w to grać. Tylko każde w inny sposób. Nie wiem, co na to Woynarowski i Ronduda. Ale to mniejszy problem.

Krzysztof Masiewicz nie układa scenariuszy ani nie rysuje, tylko kolekcjonuje sztukę najnowszą. Pisz książki o sztuce, robi wywiady z artystami, ale nie miał doktrynalnych trudności z uznaniem Baranowskiego za artystę całą gębą i pokazał w swoim katalogu sztuki także Macieja Sienięczyka. Facet twardo stoi na ziemi, mówi jak działa rynek, a nie o tym, co się marzy Frąckiewiczowi.

To nie jest łatwy biznes. Świat sztuki nie zdradza zainteresowania komiksem w obiegu galeryjnym, kolekcjonerskim; ma własnych idoli. Ciężko nawiasem mówiąc sprzedaje się też fotografia. Wśród pasjonatów komiksu trwa „polowanie na okładki i kluczowe sceny”, ale nawet wśród nich oryginały nie chodzą zbyt drogo. Papcio Chmiel w ogóle swoich nie wystawia, na plansze Skarżyńskiego nie było nabywców, a sam Masiewicz kupuje Polcha, Dąbrowskiego, Rebeke. Podoba mi się, że *nie lubi komiksów malarskich, bo to jest udawanie innego medium i trudno mu wtedy podążyć za warstwą*

fabularną, literacką. Bo komiks jest dla Masiewicza syntezą obu tych sztuk, a nie obrazem do podziwiania.

Biedny Frąckiewicz beznadziejnie odbija się od niego ze swoją wizją komiksu w muzeum: *Nie wyobrażasz sobie komiksów tworzonych specjalnie z myślą o galerii, tworzonych bezpośrednio na ścianach? Przecież to już się dzieje, jak choćby na wystawie „Black and White”*. Masiewicz: *Wyobrażam sobie, ale to jest dla mnie sztuczne. Komiks to jednak książka (...) Uważam, że komiks robiony na ścianie jest nienaturalny. Tak jak street art sprowadzony do estetyzujących płócien. Nie przekonuje mnie to. Oczywiście oba te gatunki mogą być pokazywane w galerii przy okazji konkretnych wystaw, ale to dla nich sztuczne środowisko. (...) Jednak ani street art, ani komiks takiej nobilitacji nie potrzebuje, więc na siłę bym go tam nie wciskał”*.

STARY ZNAWCA

Rozmowa z **Jerzym Szyłakiem** jest w książce przedostatnia, przed tą z Jakubem Woynarowskim, Ale powinno być odwrotnie, bo to Szyłak rozsmarowuje na masło koncepcje Woynarowskiego i jego artystyczne strategie.

Imponuje mi postawa Frąckiewicza. Zbiera cięgi, odbija się od starego krytyka, wyciągając odeń przy okazji wiele ostrych diagnoz na temat bieżącej sytuacji i dziedzictwa prekursorów, które zawsze identyfikujemy po czasie. Szyłak chwilami wygląda na awanturnika, ale jest tylko zdegustowany tym, co Frąckiewicza nakręca. W głośnej nominalnie komisowej wystawie „Black and White” dostrzega chytrą podmiianę. Ludzie sztuki zabawili się komiksem, wykonali parę prostych naśladowczych gestów, weszli między to medium i publiczność, nie dopuszczając prawdziwych komiksarzy do głosu. Woynarowski wymyśla nowe para-komisowe pojęcia, albo pisze książkę o sztuce niezależnej, a jako przykłady komiksu analizuje swoje i kolegów podróbki. W ten sposób znika z historii cała plejada autentycznych twórców, na placu zostaje Śledziu (ten akurat słusznie), Woynarowski i... Sasnał, który przerysował jeden kadr z „Mausa”. Świat sztuki do perfekcji udoskonalił mechanizmy wykluczenia – powiada Szyłak. Twierdzi, że nawet Roy Lichtenstein w swych płótnach powiększających komiksowe kadry, kpił z komiksu, brał go w nawias, ironizował. Mam nadzieję, że tu nie ma racji, dla mnie to była nobilitacja komiksu, zwrócenie uwagi na jego wigor i magię.

Tak czy owak, kiedy się wszystkiemu przyjrzeć na zimno, nie dziwi, że Frąckiewicz chciałby się przytulić do artystycznego towarzystwa i tam pobierać nauki sięgania po stypendia, dotacje, tam podglądać jak działają dźwignie pozyskiwania społecznego i przede wszystkim urzędniczego prestiżu. Tylko, że jego powinności są inne, winien jest komiksarzom obronę przed zakusami macherów. Stawiając na komiks perspektywicznie wygra więcej, bo to sztuka jest w getcie, nie komiks, a liczba rozumiejących ją odbiorców jest mniejsza. Reszta to marketing.

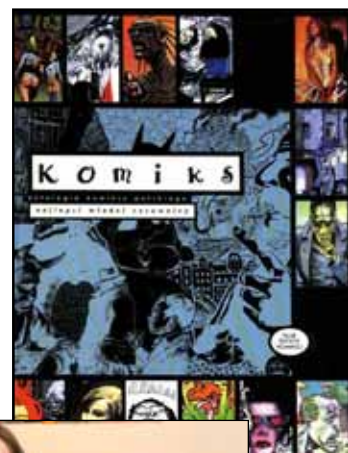
Ale nawet gdyby w galeriach, w obiegu sztuki, siedzieli otwarci na innych aniołowie, to nie są one stworzone dla komiksu. Galeria fetyszyzuje obiekty wystawiane, sztucznie czyni je przedmiotem pożądania. Komiks nie jest przeznaczony do wieszania na ścianie, do oglądania we fragmentach, to sztuk dwutworzywowa (literacka i plastyczna), otwarta, dawno wypchnięta z obszaru sztuki, która narracyjności boi się jak ognia. Lepiej więc rozpatrywać komiks w horyzoncie literatury, opowiadania o wydarzeniach. Jeśli już, to można powołać własną galerię, swój obieg, nie wpisywać się w kontekst sztuki (też tak uważam, bo widziałem muzeum komiksu w Angouleme). Oczywiście krytyk komiksu może się wielu rzeczy od krytyka sztuki i literatury dowiedzieć. Ale powinno to działać także w drugą stronę.

Tako rzecze Szyłak. A kiedy Frąckiewicz się skarży na brak odważnych poszukujących polskich komiksów na trudne tematy, Jerzy spokojnie odwołuje się do faktów. Wylicza dziesiątkę godnych uwagi albumów („Mikropolis”, „Rewolucje”, „Fastnachtspiel”, „Pana

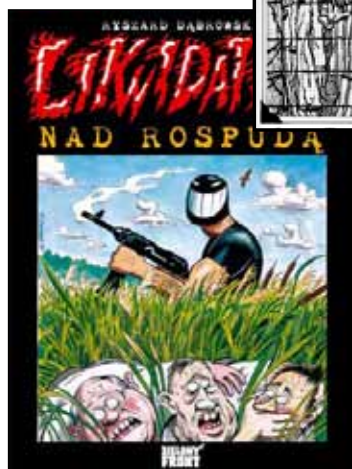
Nikoem Cabała,
Edvin Voliński,
Grzegorz Krysiński,
twórcy Biokosmosis



Jakub Rebelka



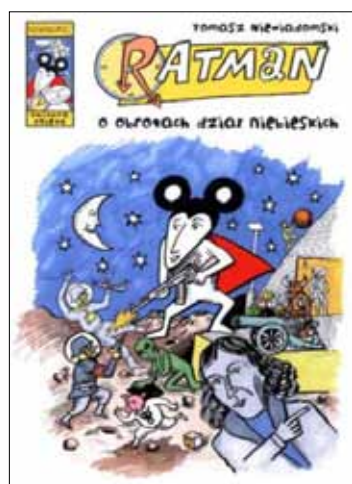
Ryszard Dąbrowski



Przemysław Truściński



Tomasz Niewiadomski



Tomasz Niewiadomski i Grzegorz Janusz

Blakiego”, „Szminkę”, „Dom żałoby”, „Fotostory”, „Czakię”, komiks Endo o ciąży, „Buty”, „Phantasmate”) i puentuje morderczo: Wziąwszy pod uwagę nasze wcześniejsze stwierdzenie, że rynek mamy płytki, a twórców i odbiorców niewielu, zapytałbym raczej, czy Polacy w ogóle robią komiks na łatwe tematy?

Frąckiewicz chciał nas światu sztuki oddać za pól darmo nie zrobiwszy porządnego rachunku stanu posiadania. Ale ten wygląda jednak nienajgorzej. Zaś instrumenty duchowe, finansowe i jakościowe, jakie oferuje komiksowi świat sztuki są niewiele warte.

PO CIEMKU

W starych wywiadach z plastykami do „F”, NF” i „Komiksu Fantastyki” pełno opowieści o panującym na akademiach plastycznych klimacie niechęci do komiksu i sztuki rysowania, z której się tam wręcz drwiło. Frąckiewicz błędzi namawiając komiksarzy na akces do światka, który ma komiks w pogardzie, a zarazem odczuwa wobec niego kompleksy.

Wojtek Siudmak przed terrorem abstrakcji uciekał w kulturystykę, Grzegorz Rosiński „malował tyłem do obrazu”. A konsekwencje? Boguław Polch opowiadał jak w 1976 roku dumni artyści po ASP padali w redakcji „Relaxu” na prostym teście. Mieli narysować osobnika wsiadającego do taksówki w trzech fazach ruchu, o cały czas rozpoznawalnej twarzy. Tylko Grzesiek i Boguś zaliczyli próbę i zostali na placu.

Frąckiewicz, stracił wiarę w czysty komiks, ale lekarstwo, które wymyślił, będzie gorsze od choroby. Szkoda, że nie modyfikuje swoich pomysłów i ignoruje argumenty rozmówców. Tymczasem to nie muzeum daje życie popkulturze, nie frazes krytyka, nie gest artysty, lecz duchowy wigor, plastyczny kunszt i socjalna uważność – komiks rozkwita w atmosferze ulicy a nie mętnego dyskursu czy wydumanej aranżacji, pozbawiającej go jego istoty. Artysta profesor Skarżyński, odbył mentalną podróż w odwrotną stronę. *Mając dwanaście, piętnaście lat nie byłem gorszy od tych, którzy w prasie rysowali. Coraz lepiej rysowałem, studiowałem również z natury i modela, i w rezultacie trudno mi było robić cokolwiek innego. Znalazłem w sposób naturalny swoją drogę do odkrywania własnych światów, także w komiksie, w okładkach fantastycznych, bo nie mówimy tu o tworzeniu, lecz o współtworzeniu – już to było fascynujące. A na pytanie czy ciągnie go sztuka ulicy, odpowiadał: Powiedzmy, że nie wstydę się współudziału w jej powstawaniu. Weźmy moją skromną obecność w Piwnicy pod Baranami. Uczestniczyć w tym dla oddechu, jak facet, który do biura idzie w białej koszuli i meloniku, a tu – swobodnie, bez krawata, ma towarzystwo nie lepsze czy gorsze, ale swobodne, naturalne. Ja w ogóle cenię sobie sztukę nie bardzo uznaną, taką, co się czyta w pociągu czy kupuje w kiosku.*

Dlatego zastanawiam się, jak tak wytrawny mimo młodego wieku obserwator komiksowej sztuki, mógł nie zauważyć cichej wojny, jaką kulturowy mainstream wypowiedział komiksom, a szerzej fantastyce i w ogóle popkulturze. Opowieści Frąckiewiczowi historyjkę, która jeśli go nie przekona, to może rozbawi.

Wystąpiłem, już w tym tysiącleciu, w TVP w programie „Po godzinach” Mariusza Wilczyńskiego i Agnieszki Szydlowskiej. Miałem mówić o komiksie, przyniosłem kilkanaście albumów, by dać świadectwo bogactwa tej sztuki, ale wyłączono mi światło, nie przerywając nagrania. Zostawiono fonię, obrazków „nie dopuszczono do głosu”, ot tani realizatorski koncept. Były dziesiątki podobnych akcji w wykonaniu przedstawicieli tzw. głównego nurtu. Przypomnę nieprzytomny atak telewizyjnych mentorów na Sapkowskiego, niepoprzedzonym lekturą jego prozy, po premierze filmowego „Wiedźmina”. Pamiętam jak czołowy Zoil polskiej krytyki artystycznej, Monika Małkowska, znęcała się nad naszą plastyczną wystawą w Muzeum Karykatury („Koniec latających talerzy”, 1996), a parę lat później skwapliwie nominowała do tytułu obciachu roku postmodernistyczną twórczość rzeźbiarską Mitoraja, plakatową Olbińskiego i malarską Siudmaka. Obieranie ziemniaków w Zachęcie już tak jej nie niepokoiło.

Czyżby ta ulica prowadziła do muzeum? Naprawdę!? Uczciwie ostrzegam, Sebastianie Frąckiewicz, zatrzymaj się, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nie idź tą drogą!

Maciej Parowski

Sebastian Frąckiewicz, *Wyjście z getta. Rozmowy o kulturze komiksowej w Polsce*. (Jakub Banasiak, Łukasz Ronduda, Bartosz Minikiewicz, Agata „Endo” Nowicka, Monika Powalisz, Michał Śledziński, Adam Rusek, Krzysztof Ostrowski, Krzysztof Masiewicz, Maciej Sieńczyk, Witold Tkaczyk, Ryszard Dąbrowski, Jerzy Szylak, Jakub Woynarowski). Wydawnictwo 40 000 Malarzy 2012. Cena 34,90 zł



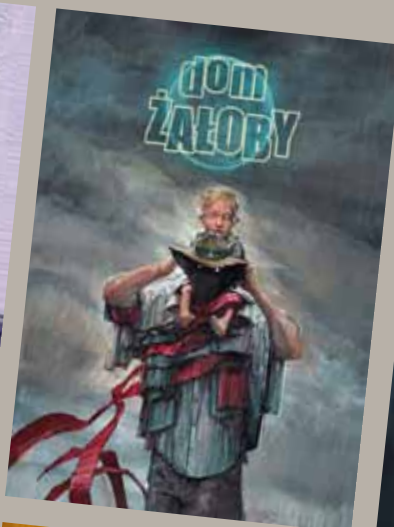
Rafał Szlapa



Agata „Endo” Nowicka



A kiedy Frąckiewicz się skarży na brak odważnych poszukujących polskich komiksów na trudne tematy, Jerzy spokojnie odwołuje się do faktów. Wylicza dziesiątkę godnych uwagi albumów („Mikropolis”, „Rewolucje”, „Fastnachtspiel”, „Pana Blakiego”, „Szminkę”, „Dom żałoby”, „Fotostory”, „Czaki”, komiks Endo o ciąży, „Buty”, „Phantasmę”) i puentuje morderczo: Wziąwszy pod uwagę nasze wcześniejsze stwierdzenie, że rynek mamy płytki, a twórców i odbiorców niewielu, zapytałbym raczej, czy Polacy w ogóle robią komiksy na łatwe tematy?



Jerzy Szylak

